

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 45 (1305) 10 LISTOPADA 1985 R. CENA 12 ZŁ

W NUMERZE:

„Dozwólcie obojgu rósć aż do żniwa”
☉ 11 listopada 1918 roku w Warsza-
wie ☉ Tars ☉ Jesienny spacer ☉ „Ro-
dzina” – dzieciom ☉ Porady

Jesienny spacer

Na jesiennym chodniku
liście ślady znaczą —
kroków czerwonożółtych
ścielą się kobierce.
I zapach snu dojrzewa,
i boli jak serce,
gdy w zwiędłych kwiatach ziemi
żegna ciepłe lato...

Zamglony oddech parku
po drzewach się włóczy
i kształt ostatnich liści
ukrywa w gałęziach,
i tylko gdzieś, na ścieżce
wilgotnej od płaczu
lśniące oko kasztana
półmrok przewycięża.

ELŻBIETA DOMAŃSKA
(1.X.1985 r.)



DWUDZIESTA CZWARTA NIEDZIELA PO ZESŁANIU DUCHA ŚWIĘTEGO

Czytanie z Listu św. Pawła Apostoła do Kolosan (3, 12-17)

Bracia: Przyobleczcie się tedy, jako wybrani Boży, święci i umiłowani w serdeczne miłosierdzie, w dobroć, w pokorę, w cichość i w cierpliwość.

Znoście jeden drugich i wybaczajcie sobie, jeśli kto ma skargę przeciw komu: jako Pan przebaczył wam, tak i wy. A ponad to wszystko miejcie miłość, która jest węzłem doskonałości. A pokój Chrystusowy, do którego też wezwani jesteście w jednym ciele, niech z radością zamieszka w sercach waszych i bądźcie wdzięczni. Słowo Chrystusowe niech przebywa w was obficie, abyście z wszelką mądrością jedni drugich nauczali i krzepili przez psalmy, hymny i pieśni duchowe, w łasce śpiewając Bogu w sercach waszych. Wszystko, cokolwiek czynicie w słowie lub czynkach, wszystko w Imię Pana Jezusa Chrystusa czyńcie, dziękując przez niego Bogu Ojcu przez Jezusa Chrystusa, Pana naszego.

Ewangelia według św. Mateusza (13, 24—30)

Onego czasu: Powiedział Jezus rzeszom tę przypowieść: Podobne stało się Królestwo niebieskie człowiekowi, który posiał dobre nasienie na roli swojej. A gdy ludzie spali, przyszedł nieprzyjaciel jego i nasiał kąkol między pszenicą i odszedł. A gdy urosło zboże i owoc wydało, wtedy ukazał się i kąkol. Przystąpiwszy tedy słudzy gospodarza, rzekli mu: Panie, czyż nie posiał dobrego nasienia na roli swojej? Skądże się tedy wziął kąkol? I rzekł im: Nieprzyjaczny człowiek to uczynił. Powiedzieli słudzy: Chcesz, pójdziemy i zbierzemy go. A on rzekł: Nie, byście snadź zbierając kąkol, nie wykorzenili z nim i pszenicy. Dopuszczcie obojgu rósć aż do żniw, a w czasie żniw powiem żencom: Zbierzcie pierwiej kąkol i zwiążcie go w snopki na spalenie, a pszenicę zgromadźcie do gumna mojego.

„Dozwólcie obojgu rósć aż do żniwa”

Gdy rolnik dobrze uprawia zagon i zasieje na nim czyste ziarno, ma prawo spodziewać się ładu pszenicy bez chwastów. I tak zazwyczaj bywa. Zdarzają się jednak wypadki, że nawet skrupulatnie odchwaszczona gleba, na której zasiano dobre ziarno, wydaje — nawet w dzisiejszych czasach tak wysoko postawionej kultury agrarnej — kąkol, bławaty czy oset. Dzieje się tak wówczas, gdy chwasty plenią się na sąsiednich polach i wiatr przynosi nasiona. Zdarza się czasem, że zazdrosny albo złośliwy sąsiad, chcąc umniejszyć plony pracowitego sąsiada, potrafi nocą zanieczyścić pole, wysiewając nasiona stokłosa czy mietlicy. Ten nieczyny czyn stał się kanwą, na której Chrystus zbudował przypowieść czytana dziś w naszych kościołach.

Przypowieść o pszenicy i kąkolu dobrze ilustruje naukę Zbawiciela o źródle zła na świecie i dlatego Bóg toleruje to zło. Wyznawców Chrystusa nie powinien dziwić fakt istnienia zła. Bóg dopuszcza zło, by na jego tle jaśniej widać było wartość dobra. Lud Boży nie powinien siłą wykorzeniać kąkolu, ale też musi uważać, by kąkol nie wpłynął na zmniejszenie plonów duchowych, które zostaną ocenione w czasie żniwa. Obecnie do pielęgnacji zbóż stosuje się różne chemiczne środki, ale w czasach Chrystusa tylko ręcznie można było usunąć zielsko z pszenicy. Był to zabieg pracochłonny i wielce szkodliwy, bo pracownik wyrывая chwast mógł zniszczyć młode źdźbła szlachetnych zbóż. Mądry rolnik zostawiał kąkol i pszenicę, aż do żniwa i dopiero wówczas dokonywał selekcji: zboże do stodoły, a chwast na spalenie.

Zastanówmy się nad treścią prostej, ale jakże głębokiej w swej symbolice przypowieści. „Podobne jest Królestwo niebieskie człowiekowi, który posiał dobre nasienie na roli swojej”. Człowiekiem tym jest Jezus Chrystus, który przyszedł z nieba obsiać glebę ludzkich serc. Obsiewa ją swoim świętym Słowem, dzięki któremu każdy może przynosić wiele owoców mających wartość nie tylko w tym życiu, ale również gwarantujących człowiekowi miejsce w „Królestwie niebieskim”. „A gdy ludzie spali, przyszedł nieprzyjaciel jego i nasiał kąkol między pszenicą i odszedł”. A gdy urosła trawa i wydała owoc, wtedy ukazał się i kąkol.

Siewców zła moralnego, wypełniających podszepty szatana, nie brakuje na świecie. Potencjalnym roznosicielem ziaren chwastu jest każdy, kto nie walczy ze skłonnościami do złego we własnym sercu. Szatan, czyli ten „nieprzyjaczny człowiek” z przypowieści, nie musi działać sam. Ma wielu pomocników, którzy raz jawnie, raz skrycie, w nocy i w dzień, słowem i czynem, sieją zgorzenie. Szkodnik materialny działa zawsze nocą lub skrycie. Gorszyiciel potrafi występować otwarcie i bezczelnie, gdyż liczy na pobłażliwość otoczenia, a często nawet na aprobatę i aplauz. Największym nieszczęściem naszej chrześcijańskiej duszy jest nie zło, które ją atakuje, ale jej ospałość, stopienie wrażliwości, brak czuwania. Gdybyśmy byli mocni duchem i dobrze czuwali nad skarbem wiary, nadziei i miłości, nieprzyjaciel nie ośmieliłby się wkroczyć w nasz obszar. Jeśli jednak widzi, że bezkarnie może grasować po domu, nie dziwny się, że narobi szkody. Aby przeciwstawić się złu, musimy znać wartość skarbu i czuwać nad nim w dzień i w nocy. Zachęca nas do tego czuwania Apostoł Piotr, gdy woła: „Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie! Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży szukając kogo pożreć. Mocni w wierze przeciwstawcie się jemu! Wiecie, że te same cierpienia ponoszą wasi bracia na świecie” (1 P 5, 8—9).

„A przystąpiwszy słudzy gospodarza rzekli: Panie, czy nie posiadałeś dobrego nasienia na roli swojej? Skąd się wziął kąkol? — Chcesz, pójdziemy i zbierzemy go! Nie, bo zbierając kąkol możecie wykorzenić razem z nim pszenicę. Dopuszczcie obojgu rósć aż do żniwa”. Wszechmogący Bóg nie musiałby się trudzić przy niszczeniu chwastów moralnych na ziemi. Ma dość sług, którzy bardzo gorliwie wykonaliby to zadanie. Nie czyni jednak tego i nie dozwala nikomu gwałtem niszczyć kąkolu, czyli naszych słabości i w ogóle nas, jako grzeszników i siewców zła. Miłosierny Jezus, który tak wielką cenę zapłacił za każdego człowieka, oczekuje czegoś absolutnie wznioślejszego niż niszczenie. Oczekuje przemiany. Z kąkolu rosnącego wśród pszenicznych łąnów nie zrobi się pożyteczne ziarno, ale człowiek zły może się zmienić. „Kto dziś jest kąkolem jutro może stać się pszenicą” — poucza św. Augustyn. I ma rację. W porządku natury, w biologii jest to niemożliwe, ale w sferze życia duchowego mogą się dokonać takie zmiany. Wystarczy tylko, że „kąkol” zechce współdziałać z łaską Bożą.

Jakże wielka jest mądrość i niezmiernie miłosierdzie Zbawiciela. „Zostawcie, niech rosną aż do żniwa” — poucza Chrystus tych wszystkich, którzy w swojej nadgorliwości ogniem i mieczem niszczyliby zło i wszystko, co ma pozory zła. Rzadko jednak ci sami strażnicy ładu moralnego zaglądną, co rośnie na polu ich duszy. Gdyby Bóg nie okazał cierpliwości, to nie mielibyśmy świętych tej miary, co Apostoł Paweł i choćby wspomniany wyżej św. Augustyn.

Boże! A co byłoby ze mną? Już tyle razy zasłużyłem na wyrwanie spośród Twego Ludu, a Ty dajesz mi ciągle szansę poprawy. Nie chcesz śmierci grzesznika, ale wspierasz łaską, aby nawrócił się i żył.

Ks. A. B.

11 LISTOPADA 1918 ROKU W WARSZAWIE

Okres I wojny światowej był szczególnie ważny dla narodu polskiego. Właśnie w latach wojny 1914—1918 rozpadły się mocarstwa zabercze, a nowo powstałe na ich miejsce państwa i rządy uznały prawo Polski do niepodległego bytu. Po latach niewoli rodziło się znów państwo polskie. Społeczeństwo Warszawy, dla której lata 1914—1918 też stanowiły okres przełomowy, żyło życiem podobnym jak cały naród, oczekując z nadzieją końca wojny i odrodzenia niepodległej Polski. Dziś, w przeddzień rocznicy 11 listopada przypomnijmy, jak wyglądał ten dzień w Warszawie. Dla lepszego zaś zobrazowania sytuacji sygnalizujemy pokrótce ważniejsze wydarzenia z ostatnich dni października i pierwszych listopada 1918 roku.

23 X: Rada Regencyjna, najwyższy organ władzy państwowej w Królestwie, powołana przez niemieckiego okupanta 12 IX 1917 r. powierzyła utworzenie nowego gabinetu min. Józefowi Świeżyńskiemu,

25 X: Rada Regencyjna zatwierdziła listę członków nowego gabinetu. Ministrem Spraw Wojskowych mianowano Józefa Piłsudskiego, którego uwolnienia z Magdeburga oczekiwano z dnia na dzień.

Do Warszawy przybył Wincenty Witos, przywódca Polskiego Stronnictwa Ludowego w Galicji.

3 XI: Premier Świeżyński ogłosił orędzie zapowiadające utworzenie nowego gabinetu również z przedstawicielami ugrupowań lewicowych, włościan i robotników.

4 XI: Rada Regencyjna udzieliła dymisji J. Świeżyńskiemu.

8 XI: Prezydium policji niemieckiej w Warszawie zaleciło — wobec informacji o przygotowywanym przez organizacje polskie rozbrajaniu Niemców — chodzenie nie pojedynczo, a grupami.

9 XI: W Warszawie i na obszarze okupacji niemieckiej rozpoczęło się rozbrajanie Niemców przez członków różnych organizacji polskich.

10 XI: General-gubernator Beseler oznajmił w piśmie do Rady Regencyjnej, iż władzę w Królestwie Polskim przekazuje rządowi polskiemu.

Dodatki nadzwyczajne doniosły o przybyciu rannym pociągiem pośpiesznym z Berlina zwolnionego z Magdeburga komendanta Piłsudskiego.

11 XI: Niemcy podpisały zawieszenie broni.

Rada Regencyjna przekazuje naczelne dowództwo tworzące tę armii polskiej brygadierowi Piłsudskiemu.

Warszawa żyła w tych dniach na ulicy. Zrozumiałe podniecenie ogarnęło wszystkich. Każdy chciał się czegoś dowiedzieć, na ulicach tworzyły się grupki ludzi omawiających żywo wypadki. Gdy 11 listopada, w historycznym dniu zawieszenia broni, wyszedłem rano na miasto, ulica miała wygląd jakiś zupełnie inny niż zwykle: ludzie poruszali się szybko, każdy patrzył z ciekawością naokoło, każdy czegoś wyczekiwał, zawiązywały się rozmowy między ludźmi nieznanymi. Niemców spotykało się niewiele i nie mieli już tak butnych min jak poprzednio, większość z nich miała już na mundurach czerwone rewolucyjne kokardki, dyscyplina rozluźniła się, widziało się i czuło już zupełną dezorganizację tej tak karnej armii. Ludność samorzutnie zaczęła rozbrajać żołnierzy, którzy poddawali się temu przeważnie bez protestu. Zaraz na ul. Wareckiej spotkałem jakiegoś wojskowego niemieckiego, silnego, rosłego mężczyznę, za którym biegł mały, 12—13-letni uczniaczek. Gdy go dogonił, zatrzymał go i kazał mu oddać broń, a duży Niemiec bez słowa odpiął pas i oddał mu szablę. Takie sceny rozgrywały się wszędzie, co świadczyło o zupełnym już poddaniu się armii niemieckiej i o zupełnym jej rozstroju. Temu samowolnemu rozbrajaniu położyła kres po paru dniach odezwa płk. Minkiewicza, świeżo mianowanego komendanta miasta, która miała na celu to, by broń nie dostała się w ręce żywiołów niepowołanych, czemu jednak nie można już było zapobiec, bo dużo broni rozebrała ludność i przez dłuższy czas jeszcze różne bojówki partyjne, a także niezorganizowane męty społeczne rozporządzały karabinami wojskowymi.

Na głównej arterii Warszawy, Nowym Świecie i Krakowskim Przedmieściu, ruch był nadzwyczajny. Niemców umun-



Warszawa 11 listopada 1918 roku: rozbrajanie Niemców na ulicach

durowanych już się prawie nie spotykało, bo rozbrajano ich natychmiast. Nasze nowe władze (...) przystąpiły do przejmowania gmachów będących w posiadaniu władz niemieckich, zarówno wojskowych, jak i cywilnej administracji. Na początku objęto Belweder, mosty na Wiśle, przy których ustawiono posterunki, park samochodowy przy ul. Książęcej, gdzie zresztą zastano tylko znikomą ilość samochodów, bo w przeddzień Niemcy zdołali znaczną ich część wywieźć, uciekając z Warszawy. Przejęto także wydział policji kryminalnej w Ratuszu wraz z aktami. W niektórych jednak miejscach Niemcy nie chcieli usunąć się dobrowolnie, np. prezydium policji w Ratuszu trzymało się jeszcze, tak samo załoga Zamku Królewskiego i garnizon Cytadeli poddały się w ciągu dnia, Zamek nieco później, ale prezydium policji broniło się jeszcze przez cały dzień (...) Tegoż dnia przejęto koleje (...), żeglugę na Wiśle, odwach na Placu Saskim i budynki sztabu w pałacu Saskim, gdzie urzędował przedstawiciel niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych (...). Zrzucano wszędzie nienawistne napisy i znaki niemieckie. Sam widziałem, jak dwóch wyrostków wspięło się do orla niemieckiego na blasze przy pałacu namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu i zrzuciło go z hałasem na ziemię, a żołnierz niemiecki w pełnym uzbrojeniu i w hełmie na głowie trzymający wartę przed pałacem, w którym wtedy miała już siedzibę rada żołnierska, ani się obejrzał. Przejęto następnie tzw. Polską Krajową Kasę Pożyczkową, instytucję emisyjną za okupacji niemieckiej, drukującą banknoty tzw. marek polskich, i dyrektorem jej mianowano Stanisława Karpińskiego, mojego starszego kolegę ze szkoły Kronenberga, dotychczasowego dyrektora Banku Towarzystw Spółdzielczych. Instytucja ta została w następstwie przekształcona na Bank Polski, do którego przeszedł Karpiński w charakterze dyrektora naczelnego. Przejęto też centralę surowców (Rohstoffstelle) z olbrzymim zapasem towarów zagrabionych nam i gotówki, którą znajdowano i w innych instytucjach.

Dzień ten, 11 listopada, nie obszedł się bez ofiar w ludziach. Poza ofiarami, które spowodowały utarczki z Niemcami, sporo ludzi padło ofiarą rozruchów ulicznych. Na zachodnich krańcach miasta i w dzielnicach żydowskich żywy komunizm (...) zaczęły urządzać manifestacje z przemówieniami i pochody z transparentami. W wielu miejscach doszło do rozruchów i strzałów. Grupa bojowników PPS napadła na III Komisariat Milicji (...) i zabrała znajdującą się tam broń, podobno wskutek „nieporozumienia”, jak to wyjaśniały potem władze partyjne. (...) Samowolnie też PPS zajęła lokal redakcji i drukarnię gadzinowego czasopisma polskiego za okupacji, „Godzina Polski”, przy ul. Wareckiej 7. Objął ten lokal w posiadanie Feliks Perl, redaktor „Robotnika” i tam przeniósł swoją redakcję, gdzie mieściła się przez dłuższy czas, aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Śladami Apostoła Pawła

TARS

„Ja jestem Żydem z Tarsu, obywatelem znacznego miasta w Cylicji” — oznajmia św. Paweł pojmany przez rzymskiego trybuna podczas rozruchu w Jerozolimie (Dz 21,39). Ta rzadka wzmianka jaką czyni o samym sobie, uprzytomnia nam jak niewiele w istocie wiemy o związkach rodzinnych, pochodzeniu i najwcześniejszym okresie życia „Apostoła Narodów”. Nawet jego apostołstwo jest późniejszej daty i innego rodzaju, nie poznał bowiem Jezusa za Jego ziemskiego życia i nie należał do grona 12 pierwszych uczniów i głosicieli Słowa. Mimo to, dzieło misyjne podjęte od chwili, gdy Chrystus powołał młodego Szawła do swej służby pod Damaszkiem, uczyniło zeń jedną z najważniejszych postaci apostołskich pierwotnego Kościoła.

Urodził się więc w Tarsie (Dz 22,3), zapewne ok. 8 r. po Chr., w osiedlonej tam rodzinie żydowskiej, należącej do pokolenia Beniamina (Rz 11,1) — jako prawdziwy „Hebrajczyk z Hebrajczyków” (Flp 3,5). O innych członkach rodziny nie wiemy nic, prócz przypadkowo wspomnianej osoby siostrzeńca przebywającego w Jerozolimie (Dz 23,16). Za innego z krewnych św. Pawła Kościół prawosławny uważa św. Herodiona (Rodiona), którego Apostoł w jednym z listów zwie „swym rodakiem” (Rz 16,11). Według różnych źródeł był on potem biskupem w Patras lub może nawet w samym Tarsie, i zginął jako męczennik w dniu śmierci św. Piotra i Pawła.

Ta rodzina żydowskich emigrantów posiadała — rzecz wówczas nie tak częstą — pełne obywatelstwo rzymskie. Korzystał z niego zatem od urodzenia (Dz 22,28) i św. Paweł, nadmieniający o tym nieraz i odwołujący się do tego przywileju w decydujących chwilach (Dz 16,37; 25,10—11). Aby lepiej ocenić ten fakt i poznać atmosferę, w jakiej wyrastał przyszły apostoł, warto bliżej przyjrzeć się wielkoświatowej atmosferze samego Tarsu.

Położone w najbardziej urodzajnym zakątku Azji Mniejszej, miasto zawdzięczało swą przeszłość tysiącletnią pomyślność zarówno żyznym ziemiom oraz sprzyjającemu klimatowi, jak i bardzo korzystnemu położeniu. Oddalone nieco od morza i usytuowane nad brzegiem Kydnosu (Cydnus), korzystało z portowego zalewu u ujścia dwóch rzek. Już w bardzo zamierzchłych czasach Tars znany był jako port wywozu cyny i innych cennych kopalin. Nie tylko u proroka Ezechiela znajdujemy wzmianki o rozległym handlu i licznej flocie tarsyjskiej (Ez 27,12; 27,25; Jdt 2,23), pamiętając, że na jednym z takich okrętów zbiegi do Tarsu Jonasz (Jon 1,3). Nadto wiodła tędy z Anatolii do Syrii ważna droga przez Wrota Cylicyjskie, jedyne przejście przez góry Taurus, któredy prowadzili swe wojska m.in. Ksenofont i Aleksander Wielki.

Grecy chętnie uważali Tars za swój gród, założony przez mitycznego Heraklesa lub Perseusza, lecz istniał on już jako Tarszisz za królów hetyckich, w XIII w. przed Chr. Gdy zdobył, spalił go i odbudował Sasherib w VII w. przed Chr., gród długo płacił daninę władcom asyryjskim. Potem był siedzibą cylicyjskich książąt i perskich sa-



Św. Paweł
— rycerz nowej wiary
(obraz Fra Bartolomeo)



Szczątki
rzymskiego łuku
w Tarsie

trapów, nim opanowali go następcy Aleksandra Macedońskiego.

Ten bogaty i ważny ośrodek handlowy i strategiczny był nieraz niszczonej wojnami, ale zawsze odzyskiwał poprzednią pozycję, a za grecko-syryjskiej dynastii Seleucydów zyskał jeszcze ważną rolę kulturalną. W mieście, które przejściowo zwano nawet „Antiochią nad Kydnosem”, rozwinął się żywy ruch intelektualny (m.in. filozofów stoików), za panowania Rzymian istniał tam prężny ośrodek nauki, który wydał np. historyka Hermogenesa i filozofa Atenodorośa — nauczyciela cesarza Augusta. Tars cieszył się kolejno względami Marka Antoniusza, Juliusza Cezara i Oktawiana Augusta. Tu odbyło się słynne spotkanie Antoniusza z egipską królową (co dziś upamiętnia tzw. „Brama Kleopatry”), tu — w mieście przemianowanym na Juliopolis — szerzył się okrasowo kult Juliusza Cezara, zaś geograf Strabon wymienił przed Atenami i Aleksandrią Tars, liczący pół miliona mieszkańców i będący metropolią Cylicji, Izaurii i Likaonii.

Żydzi osiedli na dobre w Tarsie już za czasów Seleucydów i tworzyli później boga-

li, wykształconą gminę o solidnej pobożności. Antoniusz nadał Tarsowi przywilej miasta wolnego (civitas libera) jako stolicy Cylicji, z czym łączyło się łatwiejsze uzyskiwanie obywatelstwa rzymskiego przez miejską elitę. Być może w ten sposób objęło ono rodzinę Pawła, która mogła zyskać je raczej w okresie cezariańskim, bowiem za Augusta możliwości te ograniczono. Nie można jednak wykluczyć, że ojciec lub dziad Szawła otrzymali obywatelstwo np. za długoletnią służbę w pomocniczych oddziałach (auxilia) armii rzymskiej.

Żydowska gmina tarsyjska musiała być zwarta religijnie, a rodzina Szawła zamożna, skoro młodzież wysyłano na studia aż do Jerozolimy. W samym Tarsie bowiem pogańska ludność czciła (poza bogami rzymskimi) pierwotne bóstwo opiekuńcze — Sandana, zasymilowanego potem z Heraklesem, cieszącym się szczególną popularnością w świecie kupców. W tej atmosferze tradycyjnej żydowskiej pobożności wyrósł późniejszy gorliwy czciciel Chrystusa i apostoł nowej wiary.

Związki św. Pawła z rodzinnym miastem ograniczały się do krótkiego, bardzo wczesnego okresu życia, bo już jako młody chłopiec został posłany do Jerozolimy na nauki u znanego podówczas rabina Gamaliela (Dz 22,3; 26,4) i właściwie tam wychowywał się dalej, przewyższając swych rówieśników w żarliwości dla judaizmu (Ga 1,13—14). Powrócił on jeszcze do tarsyjskiej ojczyzny wkrótce po nawróceniu, (ok. 39 r.) chroniąc się przed prześladowcami (Dz 9,30) i zostając stamtąd zabrany przez św. Barnabę (Dz 11,25—26). Choć nie wiemy o tym nic pewnego, trudno wykluczyć, iż Apostoł odwiedzał Tars podczas drugiej i trzeciej podróży misyjnej, gdyż z Antiochii tędy wiodł najlepszy szlak do innych krain małoazjatyckich.

Dzisiejszy Tars (Tarsus) jest również ważnym ośrodkiem handlowym w Turcji, w którym rozwinął się przemysł włókienniczy w oparciu o miejscową uprawę bawełny. Nasz „CEKOP” zbudował tu przed laty nowoczesną fabrykę barwników tekstylnych. Miejsce, gdzie podobno stał dom św. Pawła upamiętnia poświęcona mu studnia. Turcy muzulmanie w tej samej intencji wzniesli meczet. Choć wykopaliska prowadzone przed i po wojnie wykazały w okolicy ślady osadnictwa jeszcze z epoki neolitu, pamiątek z czasów Apostoła pozostało niewiele. Z paradnego łuku rzymskiego przetrwało zaledwie jedno przesło, ozdobione symbolicznym krzyżem. Turyści mogą oglądać również symboliczną „Bramę św. Pawła” — w istocie jedyną dobrze ocalałą, zachodnią bramę miejską, a na prawym brzegu rzeki pokazuje się tzw. „Dónik Tarsz” czyli „Zamarznięty Kamień”, będący częścią jakiejś rzymskiej budowli publicznej. Jest jeszcze teatr w ruinie, a od czasu do czasu robotnicy przy wykopach znajdują mozaiki, rzeźby czy sarkofagi.

I tyle pozostało z miasta, które jeszcze za Bizantyjczyków miało wysoką rangę w imperium, lecz potem uległo Arabom, krzyżowcom, Mamelukom i osmańskim Turkom.

Czyż można jednak zapomnieć, że w IV stulciu pełnił tu zaszczytnie swe biskupie powinności antiocheńczyk Diodor, zwany „najwiarygodniejszym sędzią prawowierności na Wschodzie”, o którym z taką niechęcią wyrażał się wskrzesiciel pogaństwa, cesarz Julian Apostata? Czyż nie można uznać za niezwyklej akt przeznaczenia, iż właśnie pod Tarssem leży w grobowcu tenże Julian po śmierci w wojennej wyprawie na Wschód? Czy wreszcie nie jest symbolem, iż stąd pochodził św. Teodor — odnowiciel chrześcijaństwa i pierwszy prymas Kościoła Anglii w VII w.? Trudno o tym nie pamiętać, spoglądając na szczątki łuku, pod którym może przechodził Apostoł.

KRZYSZTOF GÓRSKI

Tego też dnia, 11 listopada 1918 roku, zwierzchnią władzę w naszym wskrzeszonym państwie objął Józef Piłsudski. Wprawdzie Rada Regencyjna jeszcze istniała i formalnie przekazała Piłsudskiemu tylko naczelne dowództwo wojska, faktycznie jednak całkowita władza przeszła w jego ręce (...) Rząd lubelski oddał mu się do rozporządzenia i zewsząd napływały oświadczenia hołdownicze. Miasto Warszawa powołało go w osobach prezesa Rady Miejskiej, Ignacego Balińskiego i prezydenta miasta, Piotra Drzewieckiego, którzy złożyli mu wizytę, a nazajutrz, dnia 12 listopada, na uroczystym posiedzeniu Rady Miejskiej mianowano go honorowym obywatelem miasta. Piłsudski też zdawał sobie sprawę z tego, że tylko on może utworzyć rząd, i tego samego jeszcze dnia rozpoczął nieoficjalne jeszcze rozmowy z przedstawicielami stronnictw politycznych, a nazajutrz konferował już oficjalnie z polecenia Rady Regencyjnej, która powierzyła mu utworzenie rządu. Z całego kraju nadchodziły wieści o przejmowaniu administracji od okupantów. Wielkorządcą Beseler [generał-gubernator Hans von Beseler] już nie czwórka białych koni, jak dawniej, przemknął się do Zamku, gdzie spędził ostatnią noc z 10 na 11 listopada, jakoby na kanapce w lokalu Rady Regencyjnej, na parterze od strony Zjazdu z walizką pod bokiem. Nazajutrz odstawiono go na pobliską przystań na Wiśle, na statek, który odwiózł go do Torunia, skąd już kolejną udał się dalej. Komendantem służby zewnętrznej Milicji Miejskiej mianowano kpt. Jura-Gorzechowskiego, legionistę, znane działacza PPS, który wstąpił się uwolnieniem w 1906 r., w przebraniu rosyjskiego oficera żandarmerii, 10 więźniów politycznych z więzienia na Pawiaku, między nimi i Piłsudskiego. Administracja wewnętrzna Milicji pozostawała w rękach Mieczysława Szacińskiego, członka Magistratu.

Noc z 11 na 12 listopada była jeszcze niespokojna, ponieważ oblegano w Ratuszu prezydenta policji niemieckiej, von Glasenappa, który pomimo już formalnego przekazania administracji nie chciał opuścić stanowiska i zamknął się w Ratuszu, w części gmachu pod wieżą zegarową, wraz ze swoim sztabem. Zaatakowano go około północy i strzelanina trwała parę godzin. Oddział niemiecki w Ratuszu odpowiadał granatami ręcznymi i karabinami maszynowymi i dopiero o 5 rano Glasenapp poddał się i Ratusz obstawiono wartami polskimi. Gdy polski oficer zjawił się, by objąć lokal, zastał

biura puste, ze śladami spalania wszystkich książek i dokumentów, zaś urzędnicy wraz z Glasenappem znajdowali się w jego gabinecie. Po przejęciu znajdującej się tam broni i pieniędzy, których nie wiem czemu Niemcy nie zniszczyli, Glasenappa uwięziono za opór władzy i wraz ze wszystkimi urzędnikami internowano go w świeżo odebranej od Niemców Cytadeli. Co się z nim stało potem — nie wiem. Tak się skończyła kariera człowieka, który swoimi surowymi zarządzeniami podczas okupacji dał się bardzo we znaki ludności warszawskiej [Ernst von Glasenapp, prezydent policji miasta Kolonii, został mianowany prezydentem policji w Warszawie 9 sierpnia 1915 roku, tuż po zdobyciu Warszawy przez Niemców].

Zamek przejęto już 11 listopada, pozostała tam jednak kompania kadetów niemieckich, której Piłsudski pozwolił tam zostać do wyjazdu. O mało nie przyszło tam do utarczki następnego dnia, ponieważ pepeesi (PPS) urządzili pochód manifestacyjny z powodu utworzenia rządu przez ich towarzysza partyjnego, Piłsudskiego. Kadeci, myśląc, że pochód zbliżający się do Zamku chce go atakować, wysadzili karabiny gotowe do strzału przez okna i tylko osobistej interwencji Piłsudskiego należy zawdzięczać, że nie było ofiar w ludziach. Pepeesi wdarli się na zamek i osadzili na dachu czerwony sztandar, który tam wisiał przez dłuższy czas, nikt bowiem nie decydował się zdjąć go. Na Ratuszu po kapitulacji Glasenappa wywieszono sztandar o barwach narodowych.

(Fragmenty wspomnień Mieczysława Jankowskiego, oprac. na podst. tomu *Warszawa w pamiętnikach pierwszej wojny światowej* — ed.)

*

Autor wspomnień, Mieczysław JANKOWSKI, urodził się w 1878 r., zmarł po drugiej wojnie światowej w 1961 r. W latach poprzedzających pierwszą wojnę i w czasie jej trwania był należącym do średniego pokolenia pracownikiem samorządowym, reprezentując światopogląd centrowo-prawicowy. Politycznie najbardziej zbliżony był do Narodowej Demokracji i z ramienia tej partii w r. 1919 wybrany został radnym m.st. Warszawy. W latach 1923—1927 pełnił on funkcję wiceprezydenta miasta, działając w różnych instytucjach społecznych i oświatowych (m.in. w Polskiej Macierzy Szkolnej, a w czasie II wojny — w Radzie Głównej Opiekuńczej). Wspomnienia swe spisał jeszcze w roku 1942. Odnaczają się one wielką dokładnością w szczególach, a ich niektóre fragmenty ciekawia ze względu na specyficzny punkt widzenia i polityczne zapatrywania autora.

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (1995)

w opracowaniu bpa M. RODEGO

Twinu i jest w dalszym ciągu centrum augustynizmu i tomizmu, jak i neotomizmu, owszem — trzeba powiedzieć całego chrześcijaństwa w ogólności, również współcześnie. Inne religie świata, chociaż nie wszystkie, są też teocentryczne, ale i w innym sensie i w innym zakresie niż teocentryzm chrześcijański, który w odróżnieniu właśnie od innych religii teocentrycznych uznaje wieczne istnienie i działanie permanentne Boga Osobowego, jednego lecz jednocześnie w trzech Osobach (→ Trójca św.).

Teodorowicz Józef Teofil — (ur. 1864, zm. 1938) — ormianin, który w 1887 roku przyjął po ukończeniu studiów na wydziale teologicznym we Lwowie święcenia kapłańskie od arcybiskupa ormiańskiego Isakowicza, którego później — po jego śmierci — zamianowany biskupem przez pap. Leona XIII, a konsekrowany przez kard. Puzyrę, dnia 2 lutego 1902 roku, w archikatedrze lwowskiej, został następcą, więc arcybiskupem ormiańskim. Ks. arcybiskup Teodorowicz był znakomitym kaznodzieją i mówcą, oraz politykiem, posłem na sejm galicyjski, również w Izbie Panów w Wiedniu, jak również w Polsce w latach 1919—1922. Jest autorem wielu wspaniałych mów, z których nieliczne zostały ogłoszone drukiem.

Teodycea — (gr. *theós*=Bóg; *dike*=usprawiedliwienie Boga, sprawiedliwość, prawo) — to nazwa traktatu jako części filozofii, dokładniej metafizyki, stąd też nazywana jest również → teologią naturalną (intelektualną, rozumową, więc bez uwzględnienia wiary, zwłaszcza wiary nadprzyrodzonej). Głównym jej przedmiotem jest problem istnienia Boga, możliwość czy możliwość poznania Jego istnienia i Jego istoty, Jego przymiotów — przy pomocy tylko doświadek intelektualnych, rozumowych, a np. — Leibniz zdaje się nadto chcieć tylko ścisłym rozumowaniem jakby uspra-

wiedliwić Boga z powodu istnienia w świecie zła, występując przeciw w tym zakresie zarzutem wysuwany przed wszystkim przez tzw. pesymizm filozoficzny (→ teognozja).

Teofania — (gr. *theós*=Bóg; *phainoo*=jawiam, objawiam) — ma oznaczać ukazywanie się Boga, Boga-Trójcy św., np. przy chrzcie Pana Jezusa (por. Mt. III, 13—17). Niektórzy teologowie utożsamiają też teofanię z Objawieniem Bożym.

Teofil — reprezentatywny apologeta chrześcijański, żyjący w II w., który przyjął chrzest św. jako dojrzały i wykształcony już mężczyzna. Wkrótce został kapłanem, w 170 roku biskupem Antiochii i cenionym apologetą chrześcijańskim. Jest autorem kilku — jak sądzić można z przekazów i ocਾਲych jego prac, czy ich wyimków — cennych prac teologicznych właśnie w apologetycznym ujęciu i z entuzjastycznym poczuciem jedynie prawdziwości chrześcijaństwa jako religii. Św. Teofil jako pierwszy użył na oznaczenie Boga w rozumieniu chrześcijańskim słowa po grecku *Trias*, po łacinie *Trinitas*, co znaczy po polsku — Trójca, a więc jeden Bóg, ale w trzech Osobach: Bóg, Słowo (*Logos*) i Mądrość, czyli później: Ojciec i Syn i Duch święty. Z ocਾਲych jego twórczości tu wymienić należy 3 księgi *Do Autolikusa* (napisane po grecku po 180 r.), czyli do swego przyjaciela, poganina, który wydrwiwał krok Teofila i nową jego religię — chrześcijaństwo, a którego — pisząc ten elaborat — św. Teofil niewątpliwie pragnął przekonać właśnie o jedynie prawdziwości religii chrześcijańskiej w stosunku do wszystkich innych wierzeń i przekonań. Inne jego prace zaginęły, a przetrwały tylko niektóre ich tytuły oraz niektóre cytaty, czy treść poglądów, w dziełach i przekazach innych autorów. Trzeba też zaznaczyć, iż nie wszystkie jego poglądy teologiczne zostały później uznane za prawowierne, np.

Z zagadnień dogmatyki katolickiej

Życie mówi o jego Dawcy

Omówmy rozumowe racje, które skłaniają umysł człowieka do wiary w istnienie Boga. Silnym argumentem na tej drodze jest życie we wszystkich swoich formach i rodzajach. Chociaż człowiek jest jego częścią i to najsubtelniejszą, nie znamy jeszcze dokładnie istoty życia, chociaż umiemy określić jego gatunki i objawy. Bogactwo form życia będącego w ciągłym rozwoju jest nieustannym cudem Bożej mocy zaklętej w materię. Pojawienie się życia w trzech jego zasadniczych formach: roślinnej, zwierzęcej i rozumnej świadczy o istnieniu Dawcy życia, mającego życie w sobie i dającego życie z siebie. A taką istotą, będącą samym życiem, jest Bóg.

Jak nas poucza geologia, nasz glob stanowił kiedyś ognistą kulę, której temperatura na powierzchni sięgała kilku

tyścy stopni Celsjusza. W takim żarze nie mogły istnieć nawet najdrobniejsze zarodki życia. Najgłębsze pokłady tworzącej się skorupy ziemskiej nie noszą nawet śladów życia i dlatego wiemy czas ich powstania okresem azoicznym, czyli epoką bez życia.

Jeśli pragniemy mieć w ogródku lub w doniczkach piękne kwiaty, to nie wystarczy uprawiać glebę i podlewać ją. Musimy przede wszystkim postarać się o nasiona lub sadzonki, z których dopiero doczekamy się pożądanej rośliny. Przysłowiowo kaktus nie tylko na dłoni, ale nawet w cieplarnianych warunkach nie wyrośnie, jeśli nie zostanie zasadzony lub posiany. Z biologii wiemy, że z martwej materii nie może powstać nigdy nie żyjącego, nawet bakteria czy wirus. Istnienie bogatych i różnorodnych rodzajów życia na ziemi, na której wcześniej tego życia nie było, dowodzi istnienia Wielkiego Ogrodnika i Stwórcy, bo sam kamień, woda i gleba nie mogły dać początku życiu, skoro go nie miały w sobie. Organizmy zwierząt i roślin zbudowane są z tych samych pierwiastków, z których składa się cała przyroda nieożywiona, a jednak tak długo, jak długo żyją, bardzo różnią się od martwej materii. Badacze-botanicy i zoologowie nie mogą wyjść z podziwu nad doskonałością i funkcjonalnością każdej komórki w roślinie czy organu w ciele zwierzęcia.

Monumentalna sylwetka katedry w Kolonii w Niemczech należy do arcydzieł bu-

downictwa nie tylko sakralnego. Olbrzymia świątynia budzi podziw dla ludzkiego geniuszu. Gdy uczony i pisarz niemiecki Langehn (zmarły w 1910 r.) zobaczył jego ogrom, napisał: „Chył swe czoło zarówno przed żdźbłem trawy, jak i przed tym wspaniałym dziełem umysłu i rąk człowieka, jakim jest kolońska katedra, ale muszę wyznać, że maleńka trawka uczy mnie więcej o mocy swego Twórcy niż wspaniałe katedralny gmach”. Właściwie na tym przykładzie można byłoby zamknąć dowód na istnienie Boga zaczerpnięty z faktu istnienia cudu materii ożywionej, bo przecież do spraw życia wrócimy niebawem przy omawianiu dogmatu o Bogu Stworzycielu. Warto jednak na tym miejscu powiedzieć kilka słów o innych teoriach powstania życia na Ziemi.

Niektórzy uczeni twierdzą, że przywędrowało ono na nasz glob z innych planet lub systemów słonecznych przypędzone w formie zarodków przez wiatry słoneczne, lub opadłe w postaci meteorytów, a nawet przysłane przez istoty rozumne zamieszkuje inne systemy słoneczne. Nie ma jednak na to żadnych dowodów. Gdyby nawet udało się znaleźć takie dowody, to i tak istnienie życia nie prze stałoby być dowodem istnienia Dawcy, który zasiał je gdzieś tam w głębinach oceanu.

Najbardziej rozpowszechniona, a przeciwną wierze w akt stworzenia życia przez Boga, jest teoria samoródz-

stwa. Głosi ona, że życie powstało z materii nieożywionej na skutek zmian, jakie zachodziły w ciągu milionów lat w atmosferze, w morzu i na lądzie planety Ziemia. Pogląd ten, a jest to tylko teoria nie potwierdzona ani jednym dowodem, chociaż prób przeprowadzono już miliony — zyskał wielu zwolenników. Uda się bowiem hodować nowe typy zbóż, kwiatów a nawet zwierząt, co sugerowałoby możliwość rozwoju życia o własnych siłach z form prymitywnych do najbardziej złożonych drogą ewolucji. Sukces uzyskano tylko wtedy, gdy korzystano z materii ożywionej. Materia martwa nie zmieniła się w żywą, chociaż starano się odtworzyć wszystkie możliwe warunki klimatyczne. Nadal pozostaje aktualne powiedzenie Pasteura — twórcy błogosławionej szczepionki przeciw wściekliznie i odkrywcy mikrobów, że „życie powstaje z życia, a komórka z komórki”.

Warto wspomnieć, że są teologowie, którzy skłonni byłiby nawet przyjąć teorię samoródtwa, gdyby zyskała ona doświadczone potwierdzenie. Ich zdaniem teoria ta nie sprzeciwia się istnieniu Boga, choć odsuwa Jego bezpośrednie działanie w momencie powstawania życia. Stwórca mógł obdarzyć materię nieożywioną w zdolność wydania życia, tak, jak dzisiaj nie musi stwarzać każdego żywego bytu oddzielnie. To byłby jeszcze większy cud nad ten, w który wierzymy.

Ks. ALEKSANDER BIELEC

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (196)

jego pogląd na duszę ludzką, której śmiertelność czy nieśmiertelność uzależniał od decyzji jej własnej wolnej woli; ewangelistów uznał za proroków a Listy św. Pawła za święte Boże słowo”.

Teoforyczna procesja — (gr. *theós*=Bóg; *foréo*=niosę; *teoforyczny*=niosący Boga) — to nazwa w Kościołach Katolickich procesji, w której kapłan lub biskup niesie → Najśw. Sakrament w → monstrancji.

Teognostycyzm — (gr. *theós*=Bóg; *gnosis*=dociekanie, wiedza, poznanie...) — to pogląd którego treść można sprawdzić do stwierdzenia, iż wszystko co jest i co się dzieje można poznać tylko i wyłącznie przy pomocy Boga, czyli innymi słowami — w Bogu i przez Boga.

Teognozja — (gr. *theós*=Bóg; *gnosis*=dociekanie..., wiedza → teognostycyzm) — to inna nazwa teocycei i podobnie jak ona oznacza ściśle rozumowanie, filozoficzne poznawanie problemu czy faktu istnienia Boga, Jego istoty, przymiotów.

Teogonia — (gr. *theós*=Bóg; *gónos*=pochodzenie) — to nauka, względnie zbiór poglądów dotyczących problemu pochodzenia bogów, czyli inaczej można powiedzieć, że mniej więcej oznacza to samo, co genealogia bogów, czy bóstw. Oczywiście idzie tu głównie o genezę, pochodzenie bóstw-bogów odległej starożytności i w religiach politeistycznych; do najstarszych teogonii należy niewątpliwie *Teogonia* → Hezjoda. Natomiast treść tego terminu i sam problem, czy problemy teogoniczne nie dotyczyły i nie dotyczą Boga i Jego świata w rozumieniu i wierze chrześcijaństwa, bo w nim Bóg jeden w trzech Osobach istnieje wiecznie, jest więc bez genezy, czyli bez początku, ale i bez końca. Nie

można więc mówić o Jego genezie, pochodzeniu, czy genealogii, On po prostu JEST.

Teokracja — (gr. *theós*=Bóg; *kratéō*=rządę, władam, kieruję) — czyli jest to termin, oznaczający ustrój, w którym rządzi społecznością, narodem, państwem swój autorytet i słuszność ustanawianych praw i wykonawczych zarządzeń opierają na woli Boga, czy lepiej powiedzieć — bóstw albo bogów, albowiem idzie tu już w zasadzie o przeszłość i z wyjątkiem monoteistycznej (→ monoteizm) religii starotestamentowej jego źródła należy szukać w dawnych religiach i wierzeniach politeistycznych (→ politeizm), albo w religiach inaczej pojmujących Boga niż chrześcijaństwo. Wolę Bożą, czy wolę bóstw reprezentowali czy reprezentują, względnie chcą reprezentować, pośrednicy między światem boskim a ludzkim, czyli kapłani, albo mówiąc współczesniej — duchowieństwo, zwłaszcza jego szczyt — hierarchia, względnie wybrani — w różny sposób — władcy świeccy, którzy, mając być potomkami bogów, mają — powiedzmy jednak raczej — mieli również mieć ich autorytet i ich posłuch i odbierać też wysoką cześć, by nie powiedzieć prawie że kult boski. Ostatnio jednak, mówiąc o rządach teokratycznych, ma się na myśli większy czy mniejszy, ale znaczący wpływ duchowieństwa na władze polityczne i na ukierunkowywanie ich polityki, zwłaszcza społecznej, według zasad wyznawanej religii, niż bezpośrednio wykonywaną władzę polityczną.

Teokrazja — (gr. *theós*=Bóg; *krazis*=mieszanie, zespolenie, połączenie) — to nazwa praktyki, zwłaszcza starożytnych Rzymian — z końca tamtej i początku naszej ery — uznawana w zajmowanych, czyli militarnie podbijanych przez siebie narodów, ich bóstw i włączaniu niektórych z nich, mieszania ich, czy zespalania ich z mnóstwem już wyzna-

Bóg w Piśmie św.

Pismo św. Starego Testamentu rozpoczyna się od słów: „Na początek Bóg stworzył niebo i ziemię”. Słowa te stanowią myśl przewodnią Starego Testamentu: Bóg jest Stwórcą, od którego wszystko zależy. W nauce skierowanej do Mojżesza Bóg powiedział: „Jestem, który jestem. I dodał: Tak powiesz synom Izraela: Jestem posłał mnie do was” (Wj 3, 14). Ze słów tych wynika, że Bóg jest Pełnią bytu. Izajasz natomiast podkreśla względność bytów stworzonych: „Kto zmierzył wody morskie swą garścią i piędzą wymierzył niebiosa? (...) I kto zdołał zbadać ducha Jahwe? Oto narody są jak kropla wody u wiadra, uważa się je za pyłek na szali. Oto wyspy ważą tyle co ziarno prochu” (Iz 40, 12—13.17). Bóg występuje jako absolutny Władca i Stwórca świata, który „umocnił świat swą mądrością, a swoim rozumem rozpostarł niebiosa” (Jr 10,12).

Bóg wszystko zna, wszystko wie. Psalm 138 w tych słowach mówi o wiedzy Bożej:

*„Przenikasz i znasz mnie, Panie.
Znasz mnie, gdy siedzę i wstaję.
Z daleka myśli moje pojmujesz,
Spoglądasz, gdy spoczywam i chodzę,
i zważasz na wszystkie me drogi.*

*Choć jeszcze nie mam słowa na języku:
Ty, Panie, już wiesz je w całości.
Ty mnie ogarniasz od pleców i z przodu,
i kładziesz na mnie swą rękę.
Zbyt dziwna jest dla mnie ta wiedza
i wzniosła: nie mogę jej pojąć...*

*Tyś bowiem nerki moje ukształtował,
Ty utkałeś mnie w łonie mej matki.
Chwalę Cię za to, że przedziwnie stworzony,
za godne podziwu Twe dzieła.
I duszę moją znasz do głębi,
nie tajna Ci moja istota,
kiedy w ukryciu nabierałem kształtów...
Oczy Twoje widziały me czyny
i wszystkie są spisane w Twej księdze;
dni określone zostały,
nim choćby jeden z nich nastal” (Ps 138, 1—6. 13—16).*

Bóg niczego nie potrzebuje poznawać, o niczym się dowiadywać. Zna wszystko, zanim cokolwiek się stanie. Jest przecież Stwórcą wszystkiego.

Bóg Starego Testamentu jest transcendentny w stosunku do stworzenia, lecz równocześnie działa w świecie i zbliża się do spraw ludzkich. Nie jest On także jakąś nieosobową siłą, lecz posiada wszystkie cechy, jakie określa się zwykle mianem osoby. Pismo św. stara się w idei Boga umieścić wszechstronność i celowe działanie, widoczne w świecie i w wymaganiu ładu moralnego od człowieka. „Omyjcie się, czystymi bądźcie! Usuńcie zło uczynków waszych sprzed moich oczu! Prześciancie czynić zło! Zaprawiajcie się w dobrym” (Iz 1, 16—17).

W Psalmach, sprawiedliwość, miłosierdzie, dobroć i troskliwość Boga zakrywają niekiedy Jego nieskończoność. „Miłosierny jest Pan i łaskawy, nieskory do gniewu i bardzo łagodny. Nie wie dzie sporu do końca i nie płonie gniewem na wieki” (Ps 103, 8—9). Stwórca staje po stronie uciśnionych, bierze udział w walce z nieprzyjacielem, wybawia sprawiedliwych. Wszystkie te osobowe rysy Boga nie wykluczają według Psalmów Jego wielkości i nieskończoności, gdyż jest wszechobecny: „Jahwe, przenikasz i znasz mnie, Ty wiesz, gdy siedzę i wstaję. Z daleka przenikasz moje zamysły (...) Gdzież się oddałem przed Twoim duchem i gdzie ucieknę od Twego oblicza? Gdy wstąpię do nieba, jesteś, jesteś przy mnie, gdy się w Szeolu położę” (Ps 139, 2.7).

Bóg w Nowym Testamencie stanowi rozwój wszystkich cech, jakie zostały podane już w Starym Testamencie. Największej i najbogatszej ewolucji uległa idea osobowości Bożej. Wszystkie przymioty Boga świadczą o Jego życiu osobowym.

Bóg w Objawieniu Nowego Testamentu to nie tylko Ojciec w stosunku do ludzi, ale także Ojciec w stosunku do Chrystusa, który przypisuje sobie prawa i właściwości, jakie według Starego Testamentu miał Bóg Stwórca, bo przyszedł wypełnić prawo: „Nie sądzić, że przyszedłem znieść Prawo albo Proroków. Nie przyszedłem znieść, ale wypełnić. Zaprawdę bowiem powiadam wam: Dopóki niebo i ziemia nie przemina, ani jedna jota, ani jedna kreska nie zmieni się w Prawie, aż się wszystko wypełni” (Mt 5, 17—18). Ale także ustanowić nowe przepisy (Mt 5). Posiada także taką samą wiedzę jak Ojciec: „Wszystko przekazał Mi Ojciec mój. Nikt też nie zna Syna, tylko Ojciec, ani Ojca nikt nie zna, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić” (Mt 11,27). Św. Jan przypisuje Synowi Bożemu moc równą



Bogu Stwórcy: „Wszystko się przez Niego stało, a bez Niego nic się nie stało, co się stało” (J 1,3).

Transcendencja Boga i Jego obecność w świecie, to nowe poszerzenie Starego Testamentu. Ewangelie synoptyczne mówią o Bogu jako najwyższym celu i Dobru, które człowiek powinien kochać: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem. To jest największe i pierwsze przykazanie” (Mt 22, 37—38). Św. Paweł wystawia niepojętność i wielkość Boga: „O głębokości bogactw, mądrości i wiedzy Boga! Jakże niezbadane są Jego wyroki i nie do wysledzenia Jego drogi!” (Rz 11,33). Ten niepojęty Bóg staje się bliski i dostępny w Chrystusie.

„Albowiem z Niego, i przez Niego, i dla Niego (jest) wszystko” (Rz 11,36). „W Nim żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17,28). Bóg jako pierwsza przyczyna i Stwórca świata jest nam daleki, i dopiero w „Słowie”, które „Ciała się stało i zamieszkało wśród nas” (J1, 14) wszedł w historię każdego człowieka i całej ludzkości.

Chrystus zbliża się i objawia przez Miłość, która udziela się ludziom i tworzy w nich dobro: „Bóg zaś okazuje nam swoją miłość (właśnie) przez to, że Chrystus umarł za nas, gdyśmy byli jeszcze grzesznikami” (Rz 5,8). Ta Miłość kształtuje życie duchowe człowieka. „I jestem pewien, że ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani zwierchności, ani rzeczy teraźniejsze, ani przyszłe, ani potęgi, ani co wysokie, ani co głębokie, ani jakiegokolwiek stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym” (Rz 8, 38—39).

Obraz Boga, jaki ukazuje Jezus, Syn Boży zarówno swym własnym postępowaniem, jak i słowem, cechuje ponad wszystko miłość do człowieka i miłosierdzie. Jezus przyszedł na świat nie po to, „aby świat potępił, ale po to, by świat został przez Niego zbawiony” (J 3, 17). „Przyszedł szukać i zbawić to, co zgineło” (Lk 19, 10), jak pasterz szukający zagubionej owcy (Lk 15, 3—7). Litował się nad ludźmi, przebaczał grzechy, uzdrawiał, oddał życie z miłości.

Bóg jest Ojcem, który wie, czego człowiek potrzebuje, zanim Go o cokolwiek poprosi i dlatego nie trzeba modłać się wiele słów. „Na modlitwie nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani. Nie bądźcie podobni do nich! Albowiem wie Ojciec wasz, czego wam potrzeba, wpraw zanim Go poprosicie” (Mt 6, 7—8). Bóg nie przestaje kochać i okazywać swej miłości wszystkim: dobrym i złym. „...On sprawia, że słonce Jego wschodzi nad złymi i dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt 5, 45). Bóg jest kimś bliskim, obecnym w tych, którzy miłują Jego Syna: „Jeśli Mnie kto miłuje, będzie zachowywał moją naukę, a Ojciec mój umiłuje go, i przyjdziemy do niego, i będziemy u niego przebywać” (J 14, 23). O takim związku mówi Jezus: „Ja jestem w Ojcu moim, a wy we Mnie i Ja w was” (J 14, 20).



Jesienny spacer

Jak wędrowiec zbłąkany, strudzony podróżą,
Krokiem każdym do własnej zbliża się mogiły,
Tak my podejmujemy złudny i zawily
Rachunek myśli, które nasze serca nużą.

(A. Słonimski: „Wędrowiec”)

Jak pijany sen świetnej szaleńca palety
Pali się las jesienny rdzawymi drzew czuby,
Gdzie barw orgia namiętna święci złote śluby
Z błękitem nieb, co pada pod liść tłem podniety.

Jak chorej dumy śnione w gorączce zalety,
Jak majestaty chwały, aureole chluby
Rojone przez pobitych królów w nocach zguby,
Górami korony pychę — ostatnią, niestety.

Złote klony, miedziane buki, rude dęby.
Jak dymów bursztynowe i siarczane kłęby,
Lśnią w sprzeczce pojednanej i w zgodnej rozterce:

Zda się, że w pogłębione szafirem niebiosy
Wznoszą się rozżagwione złotym ogniem stopy,
A w każdym piękno spala swoje boskie serce.

(L. Staff: „Las jesienny”)

Po długich latach pierwszy raz
Idę jesienną tą aleją,
Jak mija czas, jak mija czas.

Pożółkłe liście lip się chwieją
I drży na ścieżce modry cień.
Z dwu stron dwa rzędy pni czernieją.
(...)

(L. Staff: „Po latach”)



Jesienny spacer

Jak oczy mgłą rozstania powlokły się niebios
Chmurami i z tumanem opada rankiem rosa.

Spoglądam, jak rdzą złotą ostatnie liście świecą,
Jak z deszczem monotonnym opadną i ulecą.

I matka mi powiada — „dzisiaj się cieplej otul”,
I skrzydła sobie łamię, jak latem w krzewach motyl.

I myślę, że rok temu ta sama jesień była,
Tylko że wtedy wieżę kościelną ozłociła.

(J. Liebert: „Jesień”)

Przed domem jarzębina
Ku ziemi się ugina.
Widzisz, coraz to śmielej
Jesień sobie poczyna.

Już z pożółkłych połonin
Hucul swe stada goni.
Weź pierwsze z brzegu ziele,
Rozetrzesz je na dłoni.

W garsteczce tego prochu,
W trembity ruskiej szlochu,
W obłokach, ach, we

wszystkim —

Jesieni jest po trochu.
Zapisz tę porę, zapisz,
Bo zaraz ją utracisz.
Pozbieraj ją, pozbieraj,
Jak umiesz, jak potrafisz.

(J. Liebert:
„Przed domem
jarzębina”)





Jesienny spacer

Nie wracać, nie wracać do wspomnień,
Nie myśleć o tym, co minęło.
Dzisiaj, dzisiaj: spacer z wami,
Wichrem jarzębiny pogięło.

Uśmiech twój i grona czerwone,
Zadatki przyszłych nalewek,
Wiatr orawski otrząsa grona,
Natrzasa się z moich śpiewek...

Nie wracać, nie wracać w doliny,
W kamienie, w drogi, w łąki,
Na najwyższych kamiennych stokach
Jarzębiny
I tojadów fioletowe paki —

To, co przeszło, to przeminęło,
Od czasu przejrzystość wzięło —
Jest niczym. A stanie się: dzieło.

(J. Iwaszkiewicz: z tomu: „Ciemne ścieżki”)

Snuży się biały dym
nad pustym kartofliskiem,
już widać krańce zim,
gdy z pól zebrano wszystko.

Z chłopcami wiejski pies
kartofli w żarze strzeże,
on kudły zmienia też
razem z chłopską odzieżą.

Jakież jest życia cel
widoku mój szeroki —
bić świnię w zimny biel,
do grobu iść za krokiem?
(...)

(A. Rymkiewicz:
„Puste
kartoflisko”)

Wieczór niebo zakrwawił chmurami,
Obłokami skrwawił pióra ptaszęce,
Dale sine, nieobjęte przed nami
Jak w tęsknocie wyciągnięte ręce.

I gdzie pójdę, zawsze niebo skrwawione,
Dale sine i beznadziejne,
Czemuś, Panie, drogę mi twardą
Dał, a serce słabe i chwiejne.

(J. Liebert: „30 października”)



Jesienny spacer

Ta ciepła noc jesienna
W konchy drzew złotych
dmucha,
I ucho mimo woli,
Czy słowik nie zagrucha,
W światłej ciemności
słucha.

A biała panna młoda
Pochyla się w ramiona
Swego młodego męża
I śpiewa zadziwiona,
Że jesień słodko kona.
(...)

(J. Iwaszkiewicz: ***)

Fontanny topól zbladły
I cienie spadły skośne,
I niby perły świata
Liście lyskają rośne
I źródła śpią bezgłośnie.



Listopad złotem liści już park przyozdobił.
Szeleszczą pod nogami — opadają z drzewa.
Jesteśmy jak te liście, które z kraju mogli
Wicher dziejów po świecie dalekim rozwiewa.

Zawodzi wiatr jesienny, lka między drzewami
Pieśnią smutną, nużącą dla obcego ucha.
Naszą mową, to znaczy mową tych, co łzami

Wśród grobów błędzącego pozdrawiają ducha.
Kto tęskni do umarłych, żywych opłakuje
I kogo przyjaciele odeszli rówieśni,
Ten tylko w płaczu wiatrów jesiennych zgaduje
Melodię polskich wierszy, smutek polskich pieśni.

(A. Słonimski: „Listopad”)



AIDS

— dzumą końca XX wieku?

Acquired Immune Deficiency Syndrome — (AIDS) — syndrom nabytego braku odporności, śmiertelna choroba, określana dzumą końca XX wieku straszy na razie ze szpałt zachodnich magazynów, które przytaczają wciąż groźniejsze statystyki i publikują zdjęcia osób dotkniętych nieuleczalną chorobą.

Na początku wydawało się, że jest to choroba rodem z Haiti, a więc mocno egzotyczna. Potem zaczęto utożsamiać ją z Afryką, co też jest poniekąd słuszne, gdyż wirus wywołujący AIDS niczym nie różni się od tego, który kryją w sobie zielone koczokodany, gatunek małp środkowoafrykańskich. Jednakże małpy te nie chorują na AIDS, ponieważ ich organizm, przechodząc kolejne etapy ewolucji, przyzwyczał się do niego. Pierwszy przypadek choroby zaobserwowano w 1979 r. w Stanach Zjednoczonych. W 1983 r., w maju, w USA było 2856 chorych ze stwierdzonym zespołem AIDS, dokładnie w rok później było ich już 7000. Do końca lipca 1985 r. zanotowano 11 919 przypadków zachorowań, w tym 148 dzieci. Do sierpnia 1985 stwierdzono 12 599 zachorowań, z tej liczby 6338 osób zmarło, najczęściej w ciągu dwóch lat od wystąpienia pierwotnych objawów choroby. W Europie do marca 1985 r. zanotowano 940 przypadków AIDS, najwięcej we Francji i RFN...

Dyrektor Departamentu Inspekcji Sanitarnej w Ministerstwie Zdrowia dr Jan Suchowiak — jak podaje „Panorama” nr 38 z dn. 22 września 1985 r. — nie ukrywa, że brak klinicznego potwierdzenia AIDS w Polsce nie oznacza jeszcze, że choroby tej u nas w ogóle nie ma. Głównie dlatego, że AIDS w formie utajonej potrafi przetrwać w organizmie ludzkim nawet kilka lat. Dlaczego ten sam wirus jednych atakuje natychmiast, innych po dwóch, a jeszcze innych po sześciu latach i więcej, tego jeszcze nie wiadomo. Nie jest także powiedziane, że zaatakuje w ogóle. Oznacza to, że nosiciel choroby sam może o tym nie wiedzieć, nie odczuwać jej w żaden sposób i żyć tak długo, jak było mu to przeznaczone ze wszystkich innych powodów. Ale do ostatnich dni może zarażać.

Są jednak środowiska bardziej narażone na działanie złośliwego wirusa. Epidemiolodzy nazywają je grupami zwiększonego ry-

zyka. Stanowią je głównie: homoseksualiści, biseksualiści, narcomani ze względu na częste wstrzykiwanie płynów często w aseptycznych warunkach, osoby chore na hemofilie, (co wymaga częstych transfuzji krwi) oraz ci, którzy muszą być poddani operacjom połączonym z transfuzją. AIDS atakuje dotychczas znacznie częściej mężczyzn niż kobiety.

Etiologia choroby nie jest do końca wiadoma, choć coraz więcej jest informacji o wirusie, który ją wywołuje. Wirus ten, nazwany przez Francuzów LAV, a przez Amerykanów HTLV-3, został odkryty w 1983 r. Wiadomo, że nie udziela się ani przez powietrze, ani przez dotyk, natomiast wykazuje jedną jedyłą predykcję — do krwi. Rozprzestrzenia się za pośrednictwem limfocytów obecnych we krwi oraz w zewnętrznych wydzielinach. Okres wykluwania się choroby trwa od sześciu miesięcy do czterech lat.

Wirus ten atakuje komórki pomocnicze — T, najważniejsze komórki w systemie odpornościowym. Komórka, która ma nasz organizm bronić przed atakiem wirusów, jest po prostu niszczone przez AIDS. W jaki sposób — jeszcze nie wiadomo. Wraz ze zmniejszającą się ilością komórek pomocniczych zmienia się cały system odpornościowy. I mimo że właściwe komórki odpornościowe są nienaruszone, to brakuje tych komórek, które informują o wtargnięciu wirusów, które uruchamiają system obronny. Z tego też względu infekcje, które dla zdrowego organizmu nie są groźne, dla zarażonego AIDS stają się śmiertelne. Chorzy na AIDS umierają na skutek infekcji płuc, przewodu pokarmowego, systemu nerwowego oraz na sarkomę — odmianę raka skóry.

Z badań wynika, że nie u wszystkich zarażonych od razu rozwijają się symptomy choroby. Ponieważ u każdego pacjenta choroba przebiega inaczej, lekarze twierdzą, że muszą istnieć



jeszcze inne czynniki sprzyjające rozwijaniu się choroby, np.: brak snu, wygłodzenie — także w wyniku drastycznych diet odchudzających, stałe opalanie się w solarium, nadużywanie pewnych preparatów azotynowych, palenie haszyszku itp.

Trzeba pamiętać o tym, że jakkolwiek wirus odpowiedzialny za wywołanie AIDS odkryto już w wydzielinie z nosa, śluzówkach, we łzach, w kale ludzkim itd., to jednak atakuje on dopiero po znalezieniu się w układzie krwionośnym. Zatem nie tylko kontakty płciowe, ale również skaleczenia mogą stać się źródłem zakażeń. Dorośli szczególnie powinni zwracać uwagę na dobór partnerów, gdyż za ich pośrednictwem choroba może dotknąć dzieci i całe rodziny.

Polska służba epidemiologiczna stanęła do walki z niewidocznym jeszcze wrogiem. Środowisko lekarskie w Polsce jest — zdaniem epidemiologów — w dostatecznym stopniu zorientowane w problematyce związanej z AIDS.

Objawy AIDS jak na złość przypominają dość banalne objawy wielu innych chorób: zwiększone pocenie się, uczucie zmęczenia i osłabienia, ale też — uwaga! — powiększenie węzłów chłonnych w co najmniej dwóch okolicach poza pachwinami, szybka utrata ciała powyżej siedmiu kilogramów w ciągu miesiąca, gorączkowanie, biegunka, infekcje skórne itp.

Lekarze są nadal bezbroni w walce z chorobą. Zalecają więc heteroseksualnym monogamię, homoseksualistom powściągliwość. Żaden kraj nie jest odporny na AIDS i nie pomogą żadne ograniczenia wizowe, jak np. zrobiła to Liberia, żądając przy wjeździe do swego kraju okazania świadectwa lekarskiego, potwierdzającego negatywny wynik testu krwi na AIDS. W Australii wydano zakaz robienia wszelkich nakłuć skóry, w obawie przenoszenia wirusa. Dotyczy to: akupunktury, tatuażu, przekłuwania uszu itd.

Jak dotychczas, na naszym kontynencie nie stwierdzono AIDS w Islandii i w Polsce. Oby można się tym cieszyć jak najdłużej.

Trwają prace nad wynalezieniem szczepionki przeciwko AIDS. Dotychczasowa szczepionka stosowana przez Instytut Pasteura w Paryżu nie daje większych rezultatów. Trudność w pracach nad szczepionką polega głównie na tym, że wirus AIDS ciągle zmienia swą strukturę białkową — niełatwo więc znaleźć punkt wyjścia do badań. Z ostatnich informacji prasowych wynika jednak, że naukowcy z amerykańskiej Fundacji Badań Biomedycznych opracowali nową wersję szczepionki, dzięki odkryciu na powierzchni wirusa protein peptydów, które wprowadzone do organizmu spowodują wytworzenie w nim przeciwciał, zdolnych zwalczyć AIDS. Po odpowiednim przetestowaniu szczepionka może być gotowa za kilka miesięcy. Tymczasem AIDS zbiera żniwo — w pierwszych dniach października br. zmarł na tę straszną chorobę znany aktor amerykański Rock Hudson.

Co zatem pozostaje nam robić? Przede wszystkim nie wolno wpadać w histerię. Musimy wszyscy mieć świadomość, że do wielu chorób atakujących człowieka, przybyła jeszcze jedna — AIDS.

Osoby, które czują potrzebę przetestowania się, winny zgłaszać się do Państwowego Zakładu Higieny w Warszawie, przy ul. Chocimskiej, lub do Instytutu Wenerologii Akademii Medycznej, przy ul. Koszykowej, również w Warszawie, albo do najbliższej poradni wenerologicznej. Uwaga! Potwierdzenie braku odporności nie musi jeszcze oznaczać AIDS.

(Oprac. na podstawie artykułów zamieszczonych w „Panoramie” nr 38 z dn. 22.IX.85 i w „Przekroju” nr 21 z dn. 22.IX.85)

data, okres lokalizacja geograficzna i polityczna fakty, wydarzenia

wiek XIX Europa

W I poł. wieku — panowanie w literaturze ideowego i artystycznego prądu romantyzmu. W Anglii — Byron, Shelley, Scott; w Niemczech — Goethe, Schiller, Novalis, we Francji — preromantycy Chateaubriand i pani de Staël, romantycy Hugo, de Vigny, Lamartine; w Polsce — Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Norwid. Romantyzm wywarł też wielki wpływ na muzykę i sztuki plastyczne.

1800 Polska Założenie w Warszawie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Istniało do 1832 r. Popierało rozwój nauki w całym kraju, jego celem było służyć pracą naukową polskim interesom narodowym i zachowaniu polskości.

1800 Włochy Alessandro Volta, włoski fizyk, konstruuje pierwsze ogniwo elektryczne.

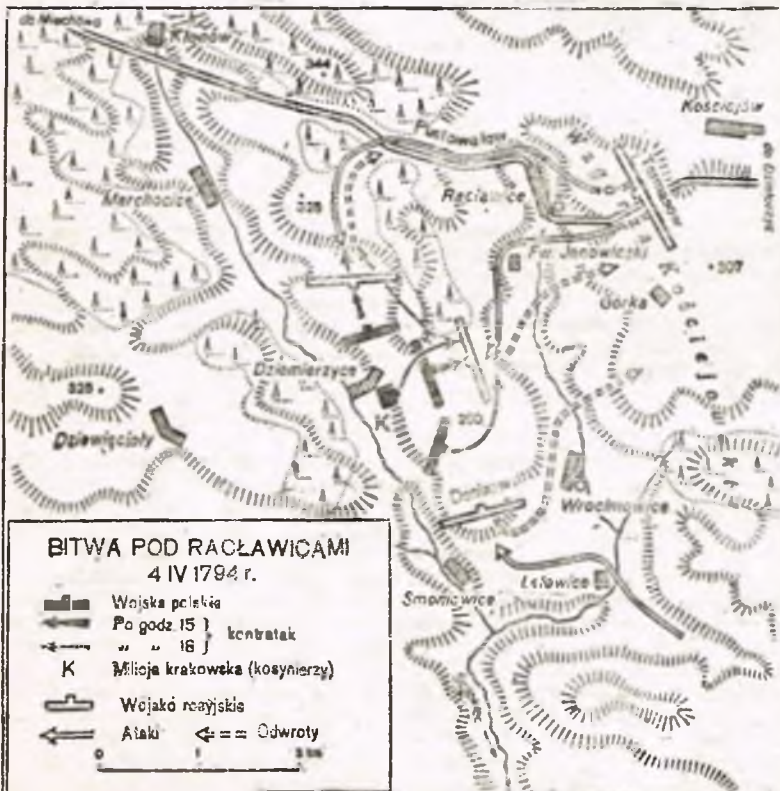
1801 Polska — Francja — San Domingo Udział legionistów polskich w korpusie ekspedycyjnym Francji na San Domingo (dziś Haiti).

1803 Francja — San Domingo Francuzi kapitulują. Niedobitki Legionów dostają się do niewoli angielskiej: z 6000 Polaków do kraju wraca ok. 300.

1803 Polska Początek działalności Uniwersytetu Wileńskiego.

1803—1805 Niemcy — Ameryka Podróże Niemca Aleksandra Humboldta, twórcy nowożytnej geografii, po Ameryce Południowej, Antylach i Meksyku.

1804 Francja Napoleon cesarzem Francuzów. Podporządkowuje swym wpływom niemal całą Europę, na tronach uzależnionych państw osadza swych braci. Kres jego potęgi — nieudana wyprawa na Moskwę (1812). Abdykował w 1814 r. w 1815 próbuje odzyskać władzę („sto dni”). Ponosi klęskę i powtórnie abdykuje. Umiera jako jeńiec wojenny Anglików na wyspie św. Heleny w 1821 r.



Plan bitwy pod Racławicami 4 IV 1794 r.

Jedna z trzech gwiazd najjaśniejszych:

ELEONORA DUSE



Eleonora Duse

Na przełomie XIX i XX stulecia trzy były najświetniejsze aktorki świata, które podbiły publiczność obu kontynentów: Francuzka Bernhardt, Polka Modrzejewska i Włoszka Duse. Zdobyte przez nie sławy i popularności aktorek teatralnych nie prześcignęła dotychczas żadna z błyszczących później na firmamencie teatrów świata aktorek.

Przedstawiliśmy już Państwu Helenę Modrzejewską, naszą wspaniałą rodaczkę, dziś powiedzmy kilka słów o **Eleonorze Duse (1859—1924)**.

Pochodziła ona z włoskiej rodziny aktorskiej weneckich „komediantów”. Przyszła na świat w czasie jednej z licznych wędrówek aktorskich w Vigevano, a jej „debiut” sceniczny wypadł w... czwartym roku życia, kiedy ukazała się na scenie w roli Cosetty w scenicznej przeróbce *Nędzników* Wiktora Hugo. Wielki cykl ról szekspirowskich rozpoczęła niezwykle — i w niezwykłej scenerii: w wieku lat czternastu grała w *Weronie Julię*. Pierwszy wielki sukces odniosła w roli tytułowej sztuki Emila Zoli *Teresa Raquin*. Od tej chwili rozpoczęła się seria jej niezwykłych triumfów, nieprzerwanie do roku 1909. W tym czasie Eleonora Duse grała nie tylko w stolicach całego świata, ale niemal we wszystkich większych miastach Europy i Ameryki.

Na skutek dramatycznych przeżyć osobistych (jej przyjaciół, włoski poeta Gabriel d'Annunzio, opisał ich wzajemny stosunek w powieści *Płomień*, przedstawiając w niej Eleonorę w fałszywym i bardzo dla niej przykrym oświetleniu) będąc u szczytu powodzenia porzuciła scenę na okres więcej niż dziesięć lat. Po tej przerwie rozpoczął się jej nowy, triumfalny pochód po scenach świata. Właśnie podczas takiego wielkiego tournée artystycznego po Ameryce zmarła w Spitzburgu 21 kwietnia 1924 roku.

W grze swojej, zwłaszcza w latach późniejszych, od-

znaczała się jakimś niezwykłym wewnętrznym skupieniem, dzięki któremu bez nadużywania środków ekspresji tworzyła przejmujące postaci tragiczne. Wrodzony wdzięk i temperament sceniczny pozwoliły tej wielkiej aktorce zabłysnąć również w rolach komediowych, które nasyciła bezpośredniością humoru. Obok innych niezwykłych walorów gry tej niezapomnianej postaci, specjalnością, jeśli można tak powiedzieć, były ręce Eleonory, którymi potrafiła, jak żadna inna aktorka, wygrać całą gamę przenikających odtworzoną postać uczuć i dać im wymowę równie wyrazistą, jak wypowiedzanemu słowu.

Z najświetniejszych ról Eleonory Duse przypomnieć trzeba Damę Kameliową Dumasa, Frou-frou Meilhaca i Halévy'ego, Oberżystkę Goldoniego, Santuzzę w *Rycerskości wieśniaczej* Verdiego, Monnę Vanę Maeterlincka, Magdę w *Gnieździe rodzinnym* Hermanna Sudermana. Duse zaliczała się też do najznakomitszych odtwórczyń Ibsena: Nora, Rebeka West w *Romersholmie*, Hedda Gabler, pani Alving w *Upiorach* należały do jej ulubionych ról. W utworach Szekspira błysnęła jako Desdemona i Kleopatra, a sztuki d'Annunzia przede wszystkim jej zawdzięczają swoją popularność (*Umarle miasto*, *Sen wiecznego poranka*, *Giocconda*, *Francesca da Rimini*).

Twórczość Reymonta osadzona jest głęboko we współczesnej mu rzeczywistości, nasycona jest realnością świata widzianego, ograniczona niejako do spraw, które były dostępne jego obserwacji. Obserwacja spełniała ogromną rolę w procesie poznawania praw życia i natury, określała charakter twórczości artystycznej pisarza. Dar obserwacji Reymonta był niezwykle, wyjątkowy. Pisarz widzi wszędzie znacznie więcej linii i barw niż przeciętny, obojętny obserwator. W powieściach jego odbywa się nieustanny ruch i mieni się barwność. Jego opisy natury i ludzi można nie tylko rysować, ale i malować, tak wiernie i z taką jasnością oddania, są nam one przekazane.

Pisarz wykazuje żywiołową wręcz ciekawość, połączoną ze zdumiewającą wnikliwością w obserwacji ludzi i przyrody. Widać u niego maksymalne zbliżenie się do obserwowanej osoby. Pisano, że: „Reymont siedzi w każdej ze swych figur. Nie tylko je widzi, słyszy i fizjologicznie czuje, ale i rozkoszuje się wnikaniem w nie, wchodzeniem w ich skórę. Wciela się w każdą ze swych postaci tak, jak genialny artysta sceniczny wciela się w swą rolę. Staje się starcem, gdy potrzeba, kaleką, gdy tego postać wymaga. Czytając jego utwory, ma się wrażenie, że Reymont przy tworzeniu ich odbywa w nerwach swoich cały trud ich życia, pracy, uciech i namiętności. I to nie w mózgu, lecz niejako we własnych



Zakochany w świecie, który odtwarzał

mięśniach i w nakładzie własnego temperamentu. Wydaje się, że po opisach weseliska wstaje on od stołu z hulany na umór, po opisach orki czuje ciężar pługa w rękach”.

Istnieje zresztą autentyczny zapis — pani Aurelii Reymontowej — potwierdzający te słowa: „Pierwszy tom „Chłopów” pisał Władek w Bretanii nad morzem. Gdy skończył opis wesela, nad którym niemal bez przerwy pracował kilka dni — po prostu padł bez sił na łóżko, tak doszczętnie wyczerpany, że wystraszona, sprowadziłam natychmiast lekarza. Obejrzał, opukał, obadał i wreszcie zapytał:

— Co się z panem działo, że pan się doprowadził do tak groźnego stanu?

— Przez trzy doby bez przerwy tańczyłem oberka — odpowiedział pacjent”.

Była to znamienna cecha jego twórczości, że co opisywał, to tym się stawał. Żądzy wnikania w każdą swoją kreację nie zatrzymuje Reymont na świecie ludzi i na ich psychikach. To poddzieranie się pod skórę wszystkiego, co spod pióra jego wychodzi, odbywa się i wówczas, gdy w utwór wprowadza żywioł czy przyrodę. Jego temperament pisarski pracuje za wiatr, który huczy jesienią, za urodzajność ziemi, za dzwon wydzwaniający

Anioł Pański. Żywioły natury sprowadza pisarz do kształtów i funkcji człowieka, by bezpośrednio odbyć na nich całą ich zaciekłość czy bujność, ich jęki i skargi, ich śpiew i ich nurt mistyki, by się za nich umęczyć lub nasycić szczęściem.

Twórczość Reymonta wyrasta z olśnienia konkretną rzeczywistością codziennego ludzkiego bytowania. Czerpie z tej rzeczywistości i stara się oddać ją jak najwierniej, bez uproszczeń i schematyzacji. Ideałem pisarza jest nie produkowanie najlepszej choćby literatury, ale odtworzenie w słowie całego bogactwa doświadczeń zgromadzonych w bezpośrednich kontaktach z ludźmi, rzeczami, zjawiskami.

Każda postać Reymonta jest fizycznie dotykalna, każde opowiedziane zdarzenie artystyczną transpozycją widzianą i przeżyte przyrodę. Życie odzwierciedla się w jego twórczości w całej swej realnej prawdzie, chwytane na gorącym uczynku, obserwowane z bystrą spostrzegawczością i wchłanianie całą siłą artystycznej duszy.

Z tych powodów twórczość Reymonta określano jako szczyt polskiego naturalizmu. Jednak ideologia naturalizmu francuskiego, której punktem wyjścia była bezpośrednia obserwacja otoczenia, a celem — możliwie

najwierniejsze odtworzenie w sztuce wyników tej obserwacji, była Reymontowi zupełnie obca. Ten żywiołowy, z doświadczenia i obserwacji czerpiący talent nie odczuwał potrzeby jakichkolwiek uzasadnień teoretycznych i założeń programowych. O ile twórczość Flauberta, Zoli i Maupassanta — czołowych reprezentantów francuskiego naturalizmu — cechuje w stosunku do odtwarzanych postaci bezosobista rzeczowość, trzeźwy chłód obserwatora-analityka, o tyle Reymont jest zakochany w świecie, który odtwarza, rozkochany w jego barwności, żywiołowości, akceptowanej nawet z nieodłącznymi od niej prymitywizmami i brutalnością.

Adam Grzymała-Siedlecki nazywa Reymonta realistą. Nie jest natomiast pisarz — według krytyka naturalistą. Uzasadnia to w ten sposób, że Reymont ma w sobie poczucie wiary, a przy tym wie, że pogoń za bezwzględą „prawdą życiową” gubi często prawdę artystyczną, ale za to siedzi w nim, jak rzadko w kimkolwiek innym z pisarzy, poczucie rzeczywistości. Dalej krytyk stwierdza, że nie ma w twórczości Reymonta ludzi wymyślonych, sytuacji fantastycznych, każdą z tych postaci można by na świecie spotkać. Nie ma w twórczości pisarza wyszu-

kanych sytuacji, to, co się dzieje, jest dziwnie proste. i całe mistrzostwo autora polega na tym, że z tej codzienności umie on stworzyć dzieła sztuki.

„Jest życie. Życie! ten przeźmożny czar, ta niewyczerpana tajemnica, te miliardowe odmiany kilku ubogich namiętności, ten niezmierny ocean ruchu i siły”.

Jako twórca postaci ludzkich nie ma też Reymont skłonności do innych indywidualności, jak tylko do takich, przez które przepływa mocny, wartki strumień rzeczywistości, u których myśli i uczucia działają energicznie. Wszystkie jego postacie mają rozmach pierwotności, zdrowie. Jeśli kochają, to szalenie, jeśli cierpią, to skały gryzą, i nie ze smutku, lecz z pasji.

Związek Reymonta z naturalizmem najsilniej ujawnia się w planie psychologicznym jego powieści, w nowym ujęciu osobowości ludzkiej. W wielu przypadkach mamy ukazany pewien proces psychiczny, związany jak najściślej z warunkującymi go okolicznościami, który jest niezależny od racjonalnych decyzji i nie podporządkowany woli. Został tutaj puszczony w ruch pewien mechanizm, tkwiący głęboko w mroku podświadomości, w której podejmowane są decyzje zaskakujące nawet dla samych bohaterów.

Taki pogląd na kwestię osobowości ludzkiej mieścił się w ramach estetyki naturalizmu. Zakładała ona, że człowiek przychodzi na świat z określonymi cechami charakteru i temperamentu swego narodu i rasy. Posiada więc pewne skłonności i upodobania, mające swoje źródło w pierwotnych siłach ukrytych głęboko i decydujących o istocie osobowości ludzkiej. Siły te drzemają w ukryciu, gotowe w każdej chwili ujawnić się z całą swoją potęgą, wyzwolić wartości podstawowe i pierwotne.

Taki typ osobowości reprezentuje Jagna z „Chłopów”, bohaterka, która znajduje się w ustawicznym konflikcie z obyczajowością wiejską, gdyż powodowana swym temperamentem stale przekracza ustalone normy postępowania, nie zdając nawet sobie sprawy, że czyni źle czy niewłaściwie.

Można więc stwierdzić, że Reymont reprezentuje naturalizm „spontaniczny”, różniący się w sposób bardzo istotny od naturalizmu rozumianego jako określona, na teoretycznych założeniach oparta „szkoła”. Jeżeli więc naturalizm — to w każdym razie nie ten spod znaku powieści eksperymentalnej ani też typu flaubertowskiego, ale naturalizm żywiołowy, poetycko-spontaniczny, który za swoją dewizę mógłby przyjąć słowa Mickiewicza: „Widzę i czuję”.

Bardzo dawno temu nad podbeskidzką rzeczką Malinką stała samotna góralska chałupka. Żyła w niej biedna wdowa z córką o tym samym imieniu co rzeczka — Malinką.

Malinka odznaczała się niespotykaną urodą. Lica miała czerwone jak niedojrzałe jagody, oczy błękitne jak len rozkwitły na zagonie, a włosy jak najdelikatniejsza kąpiel.

Pyszniła się Malinka swoją niezwykłą urodą i marzyła o złotym rycerzu, który z dalekiego świata na pewno przyjedzie i pojmie ją za żonę. Odprawiała więc z niczym chłopaków na schwał, którzy przybywali do niej w zaloty.

Aż razu pewnego do biednej chałupki góralskiej przyjechał na koniu rycerz odziany w stalową zbroję. Złożył u stóp Malinki bogate dary i poprosił ją o rękę. Stara matka była wniebowzięta, cieszyła się ze szczęścia jedynaczki. Malinka jednak pogardliwie wykrzywiła usta, bogatych darów nie przyjęła i stalowego rycerza odprawiła z niczym. Rzuciła tylko za nim z pogardą:

— Czekam na złotego rycerza, który by się pławił w złocie! Nazajutrz do biednej chałupki góralskiej przyjechał na koniu rycerz odziany w srebrną zbroję. U stóp Malinki złożył bogate dary i poprosił ją o rękę. Stara matka rozplątała się nad szczęściem jedynaczki, ale Malinka pogardliwie wykrzywiła usta, bogatych darów nie przyjęła i odprawiła z niczym srebrnego rycerza. Rzuciła tylko za nim z pogardą:

— Czekam na złotego rycerza, który by się pławił w złocie!

Trzeciego dnia do biednej chałupki góralskiej przygalopował na koniu rycerz odziany w złotą zbroję. Bogate dary złożył u stóp Malinki i poprosił ją o rękę. Stara matka posmutniała, bo nie wierzyła w szczęście jedynaczki, ale Malinka zachichotała wesoło i wyciągnęła obie ręce do zalotnika. Porwał ją w mgnieniu oka złoty rycerz, posadził przed sobą na grzbiecie konia i galopem pomknął w kierunku niedalekich gór. Malinka nie raczyła nawet spojrzeć na zapłakaną matkę.

Na niebotycznych górach stał złoty zamek złotego rycerza. W złotym zamku wszystko było ze złota. Wszystko, czego dotknęła Malinka, lśniło jak złoto i ziębiło jak złoto. Stu karłów stanęło do usług Malinki. Wchodzili do złotej komnaty jeden po drugim, na złotych tacach wnosili najwyszukiwane potrawy, w szczerzotłych pucharach złościły się najlepsze trunki.

Złoty rycerz i goście weselni zajadali ze smakiem najpyszniejsze przysmaki i pili najznakomitsze wina, ale Malinka niczym nie mogła zaspokoić coraz większego głodu i ugasić coraz dokuczliwszego pragnienia. Wszystko, wszystkiutki, czego dotknęła, zamieniało się w lśniące, chłodne złoto. Nie mogła więc zaspokoić głodu przysmakami ze złota, ani ugasić pragnienia winem zamienionym w złoto. Prosiła złotego rycerza o odwrócenie od niej złotego przekleństwa, skomlała o litość, zebrała o kromkę suchego chleba, ale złoty rycerz zamiast żywego serca miał w piersiach grudę nieczulego i chłodnego złota.



Malinka i Katarzynka



Nie wzruszyły go okrutne cierpienia i straszliwe męczarnie Malinki. Patrzył na wszystko obojętnym wzrokiem i tylko powtarzał w kółko:

— Chciałaś mieć za męża złotego rycerza, który by się pławił w złocie. Spełniło się twoje życzenie. Nigdy, nigdy nie potrafisz odwrócić od ciebie tego złotego przekleństwa, które ściągnęłaś na siebie sama.

Ostatkiem sił chciała Malinka uciec ze złotego zamku, ale nie mogła. Szczerzote drzwi same się przed nią zamykały, gdziekolwiek się obróciła, wyrastała przed nią ściana ze złota.

Po paru dniach umarła Malinka z pragnienia i głodu. W tej samej chwili, kiedy serce jej uderzyło po raz ostatni, zadrżał złoty zamek w posadach, w niebotycznej

górze rozwarła się bezdena otchłań, która pochłonęła na wieki zamek, złotego rycerza, pyszną Malinkę i wszystko, wszystkiutki.

Tylko imię Malinki przetrwało do dnia dzisiejszego w kilku nazwach wiślańskich. Złoty zamek złotego rycerza wznosił się ponoć na szczytach Malinowym i Malinowskiej Skale. Na zbrozu Malinowego pozostał ślad po bezdennej otchłani w postaci jaskini Malinowej. Na Malinowym wytryska źródło rzeczki Malinki, która doliną Malinki zmierza do rzeki Wisły. A dzielnicą podbeskidzkiej Wisły zwie się również Wisła-Malinka.

Nieco dalej, na granicy Stonawy i Suchej Góry rozciągał się ongiś rozległy las, pełen ostępów i uroczysk. W samym jego środku znajdowała się przestronna dolina, którą ludzie do dziś nazywają „Zbójnickim Dołkiem”. Najsędziwsi staruszkowie opowiadali kiedyś swoim wnukom, że w dawnych czasach stał tam duży pałac księżcy. Mieszkała w nim owdowiała księżna, której na imię było Katarzyna, razem ze swą jedynaczką, znaną z niezwykłej urody.

W młodej księżniczce zakochał się księżcy syn z cieszyńskiego zamku, ścigający raz niezmordowanie aż tutaj wspaniałego jelenia. Wkrótce w pałacu księżnej Katarzyny odbyło się huczne wesele.

O owym weselu zwiadziła się zgraja rozbójników, którzy postanowili napaść zniechęca na pałac księżcy, żeby do cna ograbić biesiadujących gości weselnych. Przyczaili się za krzakami jałowców oraz w zarostach otaczających pałac i szykowali się do napadu. Pan młody, który właśnie wyszedł na balkon, żeby odetchnąć świeżym powietrzem, zauważył podejrzany ruch w pobliskich krzakach i od razu spostrzegł groźne niebezpieczeństwo. Zbiegł szybko, zamknął ciężkie drzwi wejściowe i zaalarmował biesiadników.

Mężczyźni porwali za strzelby i przez otwarte okna bronili pałacu. Liczne odgłosy wystrzałów odbijały się głośnie echem po szerokim lesie. Rozbójnicy mieli widocznie przy sobie czarodziejskie inkluzy, które chroniły ich przed śmiertelnościami pociskami, bo strzały obrońców nie wyrządzały żadnych strat w ich szeregach. Zgraja, rozzuchwalona niepowodzeniem obrońców, coraz śmieiej nacierała na pałac. Rozbójnicy zaczęli już przystawiać do okien sporządzone naprędce drabiny, a w pałacu wszczął się okropny popłoch wśród biesiadników, kiedy stara klucznica, znająca się na czarach, podała młodemu księciu nóż kuchenny i powiedziała:

— Odetnij, panie, srebrne guzy od ślubnego kaftana i ładuj nimi strzelbę zamiast pociskami! Inkluzy rozbójników utracą nieczystą moc!

I tak się stało, jak powiedziała stara klucznica. Herszt zgrai, trafiony srebrnym guzem ze strzelby pana młodego, upadł bez życia.

Przerażona zgraja porwała zwłoki herszta i czmychnęła do lasu.

Pałac księżnej Katarzyny dziś już nie istnieje. Zniknął również prawie zupełnie las zwany „Katarzyńszczokiem”. Pozostała tylko nazwa „Katarzyna”, którą ludzie miejscowi określają tę część Stonawy, gdzie ongiś rozciągały się posiadłości owdowiałej księżnej, oraz „Zbójnicki Dołek”, gdzie miał kiedyś stać pałac księżcy.

(Ze zbioru podań, baśni i opowieści cieszyńskich, LSW Warszawa 1984)



Rozmowy z Czytelnikami

Wśród poczty redakcyjnej otrzymaliśmy ostatnio list od p. Marcina M. z Wrocławia. I nie dopuszczę się chyba przesady twierdząc, że może on być wzorem, jak powinna wyglądać korespondencja przeznaczona do niniejszej rubryki. List ten bowiem sformułowany jest krótko, jasno i rzeczowo. Autor zaś pisze w nim co następuje:

„Od pewnego czasu interesuję się teologią. Wobec powyższego proszę o wyjaśnienie: Od czego wywodzi się określenie „teologia”? Jakie zagadnienia porusza „teologia moralna”, a co jest treścią tzw. teologii pastoralnej?”

Bylbym także serdecznie wdzięczny za informację, kto i kiedy opracował i podał do wiadomości „dekalog” zamieszczony obecnie w katechizmach? Wiadomo bowiem, że — zarówno układem, jak i treścią — odbiega on od dekalogu ogłoszonego przez Boga na górze Synaj, a zamieszczonego na kartach Pisma Św. Starego Testamentu.

Podczas niesporów odprawianych w kościołach katolickich,

śpiewany jest hymn zaczynający się od słów: „Uwielbiam duszo moja sławę Pana mego...” — znany pod łacińską nazwą „Magnificat...” Uważa się powszechnie, że jest to tekst natchniony przez Boga. Wygłosiła go bowiem Maryja-Bogarodzica podczas nawiedzenia św. Elżbiety. Jednak w śpiewnikach i medytownikach tekst tego hymnu podany jest w nieco zmienionej, wierszowanej formie. A chyba tego, co pochodzi od Boga — tak mi się przynajmniej wydaje — człowiek nie powinien poprawiać, a tym bardziej zmieniać. Chętnie przeczytam, jakie jest w tym względzie zdanie Duszpasterza?

Proszę o zamieszczenie odpowiedzi na poruszone przeze mnie problemy w rubryce „Rozmowy z Czytelnikami”. Uważam bowiem, że odpowiedzi na poruszone zagadnienia zainteresują również wielu innych Czytelników naszego tygodnika.

Szanowny Panie Marcinie! Nie tak dawno jeszcze teologią (w ścisłym tego słowa znaczeniu) zajmowali się niemal wyłącznie duchowni. Jednak od pewnego czasu interesują się nią również ludzie świeccy. I chyba należy się z tego cieszyć. Bowiem coraz powszechniejsze zainteresowanie problemami teologicznymi przyczynia się nie tylko do pogłębienia świadomości religijnej, ale również do umocnienia wiary współczesnych chrześcijan. To zaś ma w dzisiejszych czasach znaczenie zasadnicze.

Określenie „teologia” wywodzi się z języka greckiego (theos = Bóg i logos = słowo, nauka) i oznacza naukę traktującą o Bogu, Jego istocie, doskonałościach i działaniu. Natomiast „teologia moralna” jest nauką, która — w oparciu o objawienie Boże

— ukierunkowuje działalność człowieka na Boga, jako jego ostateczny cel nadprzyrodzony. Teologia moralna dzieli się zwyczajem na trzy części: „teologię moralną” w sensie ścisłym, której zadaniem jest ukazywanie, jakie czyny są konieczne, by człowiek osiągnął swój cel ostateczny; „teologię ascetyczną”, traktującą o doskonałości naszych czynów i „teologię pastoralną”, przedstawiającą trzy kierunki pasterzowania kościelnego: nauczanie, usławianie i rządzenie. Należy jednak przypomnieć, że coraz rzadziej używa się obecnie określenia „teologia pastoralna”, gdyż nie jest ona teologią w ścisłym tego słowa znaczeniu. Stosowane jest natomiast sformułowanie „nauka pasterzowania”. I chyba najtrafniej oddaje ono właściwy sens tej dyscypliny kościelnej.

Dekalog (tak bowiem z języka greckiego nazywane jest dziesięć przykazań Bożych) po raz pierwszy przytoczony jest w drugiej księdze Mojżeszowej. Czytamy tam między innymi: „Nie będziesz miał innych bogów obok mnie... Nie nadużywaj imienia Pana, Boga twojego... Pamiętaj o dniu szabatu, aby go święcić... Czcij ojca swego i matkę swoją... Nie zabijaj. Nie cudzołóż. Nie kradnij. Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu. Nie pożądaj żony bliźniego swego... ani żadnej rzeczy, która należy do bliźniego twojego” (Wj 20,3—17). Po raz drugi przykazania Boże przytoczone są w księdze Powtórzonego Prawa (rozd. 5,7—21). Niektóre przykazania posiadają w Biblii wyjaśnienia i uzasadnienie. Natomiast tekst przykazań Bożych znajdujący się w katechizmach pomyślany został tak, by łatwo go było zapamiętać. Ułożony bowiem został w cza-

sach kiedy znajomość pisania i czytania nie była jeszcze powszechna. Jednak — co należy z naciskiem podkreślić — ani układem, ani treścią nie odbiega on w niczym od tekstu przykazań Bożych, zamieszczonych na kartach Pisma Św.

Podczas nawiedzenia św. Elżbiety wygłosiła Maryja pieśń wdzięczności, za łaski otrzymane przez nią od Boga. Pierwsze jej słowa brzmią: „Wielbi dusza moja Pana, i rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim. bo wejrzał na uniżoność służebnicy swojej. Oto bowiem odtąd błogosławiona zwać mnie będą wszystkie pokolenia. Bo wielkie rzeczy uczynił mi Wszechmocny i święte jest imię Jego.” Tekst tej pieśni śpiewamy w niesporach w poetyckim tłumaczeniu Franciszka Karpińskiego. Jednak i tutaj zasadnicza myśl poszczególnych wierszy nie została zmieniona. Dowodem tego mogą być początkowe słowa przekładu, które brzmią: „Uwielbiam duszo moja, sławę Pana mego, chwał Boga stwórcy i tak bardzo dobrego. Bóg mój, zbawienie moje, jedyna otucha, Bóg mi rozkoszą serca i weselem ducha. Bo mile przyjął raczył swęj sługi pokora, łaskawym okiem wejrzał na Dawida córę. Przetę wszystkie narody, co ziemię osiedzą, odtąd błogosławiona mnie nazywać będą. Bo wielkimi darami uczczona od tego, którego moc przedziwna, święte Imię Jego”. Wprowadzenie formy wierszowanej poprawiło rytmikę tej pieśni, to zaś ułatwiło jej śpiewanie. Treść pieśni nie uległa przez to zmianie.

Korzystając z okazji, łączę dla Pana i wszystkich Czytelników serdeczne pozdrowienia w Chrystusie

DUSZPASTERZ

PORADY

O pielęgnacji rąk (I)

Jesień dobiega półmetka. Jeszcze trochę a zaczną się mroźne i wietrzne dni. I znów jak to zwykle w zimie bywa będziemy rozcierać zziębnięte ręce na przystankach, o ile rękawiczki nie okażą się dostatecznym zabezpieczeniem przed podmuchami zimy.

Tymczasem ręce, to ważna rzecz i dbanie o ich wygląd nie powinno budzić wątpliwości — a już szczególnie u kobiety. Praca zawodowa, obowiązki związane z prowadzeniem domu, a nawet czynności gospodarskie w polu czy ogrodzie nie muszą skazywać kobiecych rąk na ciągłe zaniedbanie. Przy odrobinie dobrej woli i umiejętnej pielęgnacji, praca w niesprzyjających warunkach nie pozostawi na dłużej śladów.

Jak zatem dbać o ręce?

Przede wszystkim myć je na co dzień ciepłą wodą. Ciepła,

gdyż rozszerza ona pory skóry, co z kolei ułatwia ich oczyszczanie. Woda zimna nie jest wskazana. Powoduje bowiem zgrubienia naskórka, jego wysuszenie i pęknięcie, a to nie wpływa korzystnie na stan rąk.

Bardzo ważne jest także mydło. Na ogół powinno być ono łagodne, obojętne lub przefiltrowane, np. mydło dla dzieci, glicerynowe czy oro. W żadnym wypadku nie należy myć rąk w proszkach mydlanych, detergentach, które mają to do siebie, że wysuszają naskórek, a często sprzyjają pękaniu i rozmaitym alergiom.

Po każdorazowym umyciu rąk dobrze jest wetrzeć w dłonie krem nawilżająco-natłuszczający. Podobnych preparatów na ogół nie brakuje, jeśli jednak nie dysponujemy nimi w danej chwili, z powodzeniem możemy je zastąpić kremem sportowym, półtłustym lub zżeszczoną czy płynną gliceryną. Krem najlepiej jest wcierać w lekko wilgotne ręce, a już koniecznie po wieczornym myciu — na noc. Poza mydłem i kremem dłonie wymagają także masażu. Zaczynamy go zwykle od czubków palców w kierunku przegubu dłoni. Masujemy przy tym każ-

dy palec osobno, a następnie całą dłoń. Dla rozluźnienia mięśni dobrze jest też wykonać kilka ruchów skurczu i rozkurczu palców oraz w ramach tych samych ćwiczeń zrobić kilka obrotów dłońmi w przegubie, w prawą, a potem w lewą stronę.

W przypadku gdy dłoń jest szorstka, popękana lub o zgrubiałym naskórku — wymaga dłuższej kuracji. Pierwszy zabieg polega wtedy na wymoczeniu rąk w serwatce, maślanie czy soku z kiszanej kapusty. Te domowe „preparaty” wydelikatniają, wybielają oraz zmiękczają naskórek, który można następnie zetrzeć pumeksem, po czym splukać ciepłą wodą. Po osuszeniu należy wetrzeć w ręce krem owocowy lub mleczko sympatyczne.

Głębokie pęknięcia skóry dość skutecznie leczy krochmal z mąki ziemniaczanej (1 łyżka na litr wody) lub rozgotowane siemię lniane. Po takim zabiegu niewskazane jest jednak moczenie rąk, toteż lekko osuszone ręce najlepiej posmarować 2-procentowym roztworem gencjany lub maścią tranową. Na noc można posmarować dłonie gliceryną zżeszczoną z kremem linomag, i by zapobiec ewentualnym zaka-

żeniom nałożyć trykotowe rękawiczki.

Jednym ze sposobów pielęgnacji rąk jest także zanurzenie ich na 5—10 min. w ostudzonej wodzie odlanej z gotowanych ziemniaków.

Na koniec kilka uwag o mechanicznych uszkodzeniach skóry, a więc zadraniach, skaleczeniach, otarciach czy oparzeniach. Żadnego z nich nie należy lekceważyć. Pierwszym środkiem zapobiegającym zainfekowaniu jest oczywiście dezynfekcja. Środki do tego celu są na ogół dostępne, toteż nie ma problemu z wyposażeniem w nie domowej apteczki. Tak więc 3-procentowa woda utleniona, 2-procentowy roztwór wodny gencjany lub jodyna (przy skaleczeniach powierzchniowych) skutecznie zapobiegają zainfekowaniu rany. Niezależnie od tego we wszystkich wymienionych przypadkach szczególnie przydatne okazują się preparaty w aerozolu, jak np. produkowany przez HerbaPol hemostin, który tworzy na skórze elastyczną błonkę, zabezpieczając w ten sposób przed silnym krwawieniem, infekcją czy zakażeniem.

(Oprac. EIDO)

Dziewczyna siedziała na łóżku w kucki i wyszczerbionym grzebieniem czesała zmierzwione włosy.

— Dawaj porcygar, cholero!

— Jaki porcygar?

— Jaki? Już ja ci pokażę, jaki! Dawaj zaraz, bo i tak znajdę, a tobie mordę rozbiję!

— Czego wrzeszczysz? Chcesz zbiegowisko zrobić! Drzwi nie możesz zamknąć?!

Obejrzał się. Istotnie w ciemnym korytarzu ktoś stał. Gdy odwrócił się tak, że na jego twarz padło światło, usłyszał cichy okrzyk, a później szybkie kroki.

Zamknął drzwi, przekręcił klucz i schował do kieszeni. Podeszedł do łóżka. Dziewczyna wciąż flegmatycznie rozczesywała włosy. Jednym ruchem wyrwał jej grzebień i cisnął o podłogę.

— Nooo!... Czego się rzucasz, frajerze?! — powiedziała prawie barytonem.

— Oddaj porcygar, słyszysz!

— Ja nie brałam — wzruszyła ramionami.

Zamachnęła się i uderzyła ją w twarz tak silnie, że wywróciła się i głową stuknęła o ścianę.

— Dawaj! Cholero! — zamachnęła się znów.

Zakryła twarz łokciem. Chwylił jej torebkę. Wewnątrz było kilka ubogich drobiazgów, para wymiętych banknotów i brudna chustka do nosa.

Przyglądała się mu w milczeniu.

— Uu... zmija!

Jednym ruchem wyrwał spod niej poduszkę i rzucił na podłogę. Wraz z nią z brzękiem upadła papierosnica. Podniósł ją, obejrzał i schował do kieszeni.

— Złodziejka — mruknął — ścierwo.

— Samesz, frajerze, ją tam schował!

— Łżesz! — ryknął.

Nie odpowiedziała. Otworzył drzwi i wyszedł. Na ulicy z rzadka paliły się latarnie.

Dorożki ani śladu. Trzeba było iść pieszo. Mróz zwiększył się, śnieg pod nogami skrzypiał. Przechodniów było niewiele. Szedł prędko. Gdy skręcał w Marszałkowską, obejrzał się. Po drugiej stronie w odległości kilku kamieni równie prędko szła jakaś dziewczyna.

„Druga taka sama — pomyślał — nie ma głupich”.

Szedł tak szybko, że tamta musiała prawie biec, jednakże widocznie postanowiła nie dać za wygraną, gdyż odwróciwszy się przy Nowogrodzkiej, zobaczył ją znów. Przystanął, lecz ku jego zdi-

wieniu i ona wówczas przystanąła koło jakiejś nie oświetlonej wystawy sklepowej. Drobna, ubogo ubrana dziewczyna w czarnym kapeluszu.

Splunął i poszedł dalej. Zawrócił na ulicę Wspólną. Po kilku minutach był już przed swoją bramą. Stróż otworzył i nisko się ukłonił.

— O której wrócił szofer? — zapytał Dyzma, gdyż lubił kontrolować podwładnych.

— Tak, proszę wielmożnego pana, około jedenastej.

— A dach na garażu naprawili?

— A jakże, proszę wielmożnego pana.

Skinął mu głową i wszedł na schody. Ani Nikodem, ani stróż nie zauważyli sylwetki dziewczyny, która przyglądała się im przez okratowanie bramy.

Serce jej biło mocno.

Podniosła oczy na fronton gmachu.

Na wysokości pierwszego piętra widniał czarny napis:

PAŃSTWOWY BANK ZBOŻOWY

Bank!...

I nagle wszystko stało się jasne. Zupełnie jasne. Nikodem, jej Nikodem, który ją porzucił, chociaż go tak kochała, chociaż go wciąż kocha i zapomnieć nie może, Nikodem szykuje wielką robotę. Może podkop, a może tylko rozprucie kasy... W każdym razie ze stróżem jest w znowie. Przecie widziała, jak go wpuścił i rozmawiał z nim po cichu.

Państwowy Bank Zbożowy.

A może wkręcił się tam za woźnego? Ale chyba nie, po cóż by przychodził w nocy.

Serce jej biło mocno.

Przeszła na drugą stronę i czekała.

Może zadzwonią dzwonki alarmowe, może u wylotu ulicy ukaże się policja? O, wówczas dobrze wie, co zrobić należy: zadzwonić i uprzedzić stróża... Prawda, Nikodem okłamał ją, nie wrócił, ale jeszcze może wrócić... Dobrze mu powodzi się, futro ma... A wtedy jechał bogatą maszyną... Gdy mieszkał u nich na Łuckiej nawet nie sniła się jej, że ten Dyzma to taki klawy chłop, szemrany, swój... Świt już przenikał przez gruby kożuch chmur, gdy zdecydowała się odejść. Zimno było. Gdy doszła na ulicę Łucką, brama już była otwarta — dwadzieścia groszy oszczędności.

Następnego ranka poszła na Wspólną. Z niepokojem myślała o tym,

cdn.

POZIOMO: 1) najwyższe pasmo Gór Świętokrzyskich, 5) antonim zła, 10) na maneły podróznego, 11) mają swoją stolicę w Rydze, 12) awantura, zajście, 13) element charakterystyczny dla gotyku, 15) myślistwo, 16) wiedeński modny taniec, 19) w zodiaku albo na ła-dzie, 21) część widowni, wznosząca się półkolistą ku górze, 25) dział produkcji materialnej, 26) kolisty zwój nici, 28) sędzia, rozjemca, 29) surowiec włókienniczy, 30) coś bardzo cennego, 31) surowiec na świe-ce.

PIONOWO: 1) duże skupisko płynących ryb, 2) miasto w Kampa-nii (Włochy), 3) kaloryfer, terma, 4) złotówka Arabii Saudyjskiej, 6) miejsce składania ofiar kultowych, 7) słowiańska boginka, 8) po-luje bez uprawnień, 9) kuzyn chruściela o terkoczącym głosie, 14) oficer administracyjno-gospodarczy na statku, 17) typ samolotu, 18) rodzaj kaszy, 20) ułatwia cerowanie, 22) pakunki, zawiniątka, maneły, 23) nie zawodowiec, 24) upiększenie, ozdoba, 27) zasila Wartę.

Rozwiązania prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji i z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 43”. Do rozlosowania: nagrody książko-we.

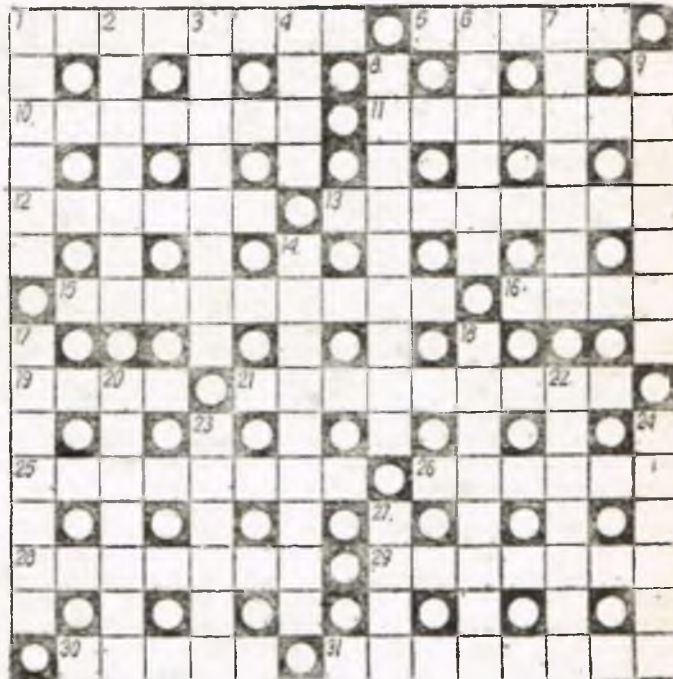
Rozwiązań krzyżówki nr 37

POZIOMO: Grzegorz, morga, kapelan, agresja, resort, stangret, gastronom, skok, Ryki, surowadka, analogin, grdyka, kaganek, gremium, grota, kazamata.
PIONOWO: gokart, zapaska, galareta, rita, obrona, gastryk, gastrolog, man-tyka, Gomulicka, organki, Gabriela, klangor, krynica, kornet, Warmia, igła.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 32 nagrody wylosowali: Barbara Trzaskowska z Wólki Niedźwiedzkiej i Janusz Stankiewicz ze Swidnicy Śląskiej.

Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 43



rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Społeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Ko-legium. Adres redakcji i administracji: ul. J. Dąbrowskiego 60, 02-361 Warszawa, Telefon redakcji: 45-04-04, 48-11-28; admini-stracji: 45-54-93. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnia 156 zł, półrocznie 312 zł, rocznie 624 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych - instytucji i zakładów pracy - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w mia-stach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; - instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fi-zycznych - indywidualnych prenumeratorów: - osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddzia-łów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; - osoby fizyczne zamieszkałe w miastach - siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „błankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 26, 00-953 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-20145-139-11. Prenu-merata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę - od dnia 03 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następný; - do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skro-cenia materiałów nie zamówionych. PZGraf, ul. Smolna 10. Nakład 25 000. Zam. 642. N-22.

KARIERA Nikodema DYZMY

pytania uśmiechem, pani Przełęska nie należała do kobiet, z których cokolwiek można wbrew ich woli wydusić. Niny pytać nie wypadało, no a prezesa Dyzmy nikt by się nie odważył.

Pani Koniecpolska, która spróbowała, opierając się na — jak sądziła — upoważniającym ją do poufałości niedawnym współwyznawstwie Trzypromiennej Gwiazdy, skarżyła się później:

— Wyobrażcie sobie, zapytał mnie, czy nie mam większego zmartwienia!

Bał udał się znakomicie, chociaż jego bohaterka nie umiała ukryć zażenowania, wynikającego z jej obecnej sytuacji i z faktu powrotu do dawnego stanowiska.

W Warszawie otoczyła ją atmosfera zaciekawionej życzliwości i szacunku, który — jak szybko zorientowała się — zawdzięczała wielkiej popularności Nikodema.

Każdy człowiek, zbliżający się do niej, uważał za swój święty obowiązek przynajmniej kilka zdań powiedzieć o Dyzmie, używając samych superlatywów. Słuchała tego z niesłabnącą przyjemnością, lecz i z cieniem jakiegoś prawie zdziwienia. Wiedziała przecie od dawna, że Nikodem jest znakomitością, że jest poważnym mężem stanu i człowiekiem wielkiej wiedzy i zalet. Tam jednak, w Koborowie, wydał się jej mniejszym. Teraz, gdy ze wszystkich stron słyssała tylko słowa podziwu i zachwytu, gdy przekonała się, że zbyt nisko oceniała jego wartość, nabrała wobec niego pewnego rodzaju onieśmielenia.

Tryb życia Niny ułożył się, pomimo swojej atrakcyjności, a raczej dzięki nieustannej atrakcyjności — jednostajnie.

Z rana chodziła z ciotką na spacer lub robiła zakupy w sklepach. O pierwszej wracała, zastając zawsze kogoś, kto przyszedł ją obejrzeć, później był obiad albo w domu, albo u znajomych, czasami na zaproszenie Nikodema w restauracji. O siódmej zjawiał się on sam i jechali do teatru czy kina. W pierwszym wypadku Nikodem odprowadzał ją do domu i żegnali się w bramie, natomiast w dru-

gim — kino kończy się znacznie wcześniej niż teatr — wchodził z nią na górę i razem jedli kolację.

Nikodem wciąż nalegał, by przyszła do niego, lecz ona odkładała to z dnia na dzień.

Byli właśnie na bardzo sprosnej farsie i Dyzma postanowił sforsować jej upór. Gdy samochód zatrzymał się przed domem pani Przełęskiej, odprawił auto.

— Pójdź pieszo. To niedaleko — powiedział szoferowi.

Kiedy Nina chciała nacisnąć guzik dzwonka, powstrzymał jej rękę.

— Nie, Nineczko, teraz pójdziemy do mnie.

— O nie, ja idę do siebie.

— Koniecznie musisz!

— Ależ to niemożliwe! Co sobie ciocia o mnie pomyśli.

— Pomyśli, co zechce. Cóż to ciebie obchodzi?

— Nie, nie! — upierała się.

— Na chwilę, na pół godzinki — prosił — czy ty mnie już nie kochasz?

Przytuliła się do niego i szepnęła:

— Więc dobrze, ale nie teraz.

— Teraz.

— Nie, jutro. Powiemy, że idziemy do kina.

Skrzywił się i chciał jeszcze nalegać, lecz Nina zadzwoniła i w bramie rozległy się kroki stróża.

Szybko pocałowała go w usta i zniknęła w bramie.

Mróż był dość duży i Nikodem nastawił kołnierz futra. Zrobił kilka kroków w kierunku domu, lecz zaraz zatrzymał się i zawrócił ku Kruczej. W Alejach Jerozolimskich był jeszcze dość duży ruch, a Nowy Świat ujrzał gęsto zatłoczony.

Wstąpił do baru, wypił kilka wódek i zjadł wielką porcję golonki z grochem. Za bufetem stała tęga dziewczyna w białym kitlu.

„Niczegowata baba” — pomyślał i nagle przyszło mu na myśl, że przecie dość jest wyjść na ulicę i kiwnąć palcem na taką, która mu się podoba.

Zapłacił, wbrew zwyczajowi nie sprawdzając rachunku, i wyszedł.

Wybór istotnie był niemały. Po kilku minutach upatrzył sobie jedną. Nie chciał jej zabierać do domu, wolał wydać na hotel. Zaprowadziła go do jakiejś brudnej nory na Chmielnej.

Było już po trzeciej, gdy zaczął się ubierać, wyjął dwadzieścia złotych, położył na stoliku i, mruknawszy „do widzenia”, wyszedł na ciemny korytarz. Gdzieś na samym końcu paliła się żarówka.

Gruba baba, właścicielka hotelu, wprowadzała właśnie nową parę, w drugim końcu korytarza otworzyły się drzwi — ktoś wychodził.

Nikodem z przyzwyczajenia sięgnął po papierośnicę i skonstatował jej brak. Szybko zawrócił i, nie zamykając drzwi, wpadł do pokoju.

115

Bajka na dobranoc

Dziś opowiemy Wam żartobliwą baśń angielską:

O śwince, co nie chciała przejść przez kładkę

Miała babuleńka świnkę, ale świnka nie chciała przejść przez kładkę. Wtedy powiedziała babuleńka do pieska:

— Piesku, ugryź świnkę. Świnka nie chce przejść przez kładkę, a jest już ciemno i do domu nie trafię.

Ale piesek nie chciał ugryźć świnki.

Poszła babuleńka dalej i zobaczyła kij. Powiedziała:

— Kiju, uderz pieska, piesek nie chce ugryźć świnki, a świnka nie chce przejść przez kładkę. Już tak ciemno, że do domu nie trafię.

Ale kij nie chciał uderzyć pieska.

Wtedy poszła dalej i zobaczyła ogień.

— Ogieńku kochany, spal kij, bo kij nie chce uderzyć pieska, piesek nie chce ugryźć świnki, świnka nie chce przejść przez kładkę, a już tak ciemno, że do domu nie trafię.

Ale ogień nie chciał tknąć kija.

Wtedy poszła babuleńka dalej i stanęła nad wodą.

— Wodulo, wodulo, zgaś ogień! Ogień nie chce spalić kija, kij nie chce pieska uderzyć, piesek

nie chce świnki ugryźć, świnka nie chce przejść przez kładkę, a już tak ciemno, że do domu nie trafię.

Ale woda nie chciała ugasić ognia.

Wtedy poszła dalej i stanęła przed wołem.

— Wypij wodę — rzekła. — Woda nie chce ugasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce pieska uderzyć, piesek nie chce świnki ugryźć, świnka nie chce przejść przez kładkę, a jest już tak ciemno, że do domu nie trafię.

Ale wół nie chciał wypić wody. I poszła babuleńka dalej i spotkała rzeźnika.

— Rzeźniku drogi — rzekła — zarznij wołu! Wół nie chce wypić wody, woda nie chce ugasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce uderzyć pieska, piesek nie chce ugryźć świnki, świnka nie chce przejść przez kładkę, a jest tak ciemno, że do domu nie trafię.

Ale rzeźnik nie chciał zabić wołu.

Wtedy babuleńka poszła dalej i rzekła do sznura:

— Sznurze drogi, zwiąż rzeźnika, rzeźnik nie chce zarznąć wołu, wół nie chce wypić wody, woda nie chce ugasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce uderzyć pieska, piesek nie chce ugryźć świnki, świnka nie chce przejść przez kładkę, a jest już późno i do domu nie trafię.

Ale sznur nie chciał przegryźć sznura.

Poszła babuleńka dalej i rzekła do kota:

— Kotku kochany, złap szczurka, szczur nie chce przegryźć sznura, sznur nie chce związać rzeźnika, rzeźnik nie chce zarznąć wołu, wół nie chce wypić wody, woda nie chce ugasić ognia, ogień nie chce spalić kija,

wołu, wół nie chce wypić wody, woda nie chce ugasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce uderzyć pieska, piesek nie chce ugryźć świnki, świnka nie chce przejść przez kładkę, a jest już ciemno i do domu nie trafię.

Ale sznur nie chciał związać rzeźnika.

Poszła więc dalej i spotkała szczurka.

— Szczurku drogi, przegryź sznur. Sznur nie chce związać rzeźnika, rzeźnik nie chce zarznąć wołu, wół nie chce wypić wody, woda nie chce ugasić ognia, ogień nie chce spalić kija, kij nie chce uderzyć pieska, piesek nie chce ugryźć świnki, świnka nie chce przejść przez kładkę, a jest już późno i do domu nie trafię.

Ale szczur nie chciał przegryźć sznura.

Poszła babuleńka dalej i rzekła do kota:

— Kotku kochany, złap szczurka, szczur nie chce przegryźć sznura, sznur nie chce związać rzeźnika, rzeźnik nie chce zarznąć wołu, wół nie chce wypić wody, woda nie chce ugasić ognia, ogień nie chce spalić kija,

kij nie chce uderzyć pieska, piesek nie chce ugryźć świnki, świnka nie chce przejść przez kładkę, a jest już ciemno i do domu nie trafię.

Kotek powiedział:

— Przynies mi trochę mleczka, to złapię szczurka.

Babuleńka poszła do krowy, która pasła się na łące.

Krowa powiedziała:

— Przynies mi trochę siana z tego stogu, co stoi naprzeciwko, to ci dam mleka.

Poszła babuleńka, wzięła garść siana i przyniosła krowie.

Gdy tylko krowa zjadła siano, dała jej mleka, a babuleńka zaniosła je kotkowi. Wtedy kotek wypił mleczko i zaczął łowić szczurka, szczur zaczął gryźć sznur, sznur chciał związać rzeźnika, rzeźnik — zarznąć wołu, wół — pić wodę, woda — gasić ogień, ogień — palić kij, kij chciał uderzyć pieska, piesek chciał ugryźć świnkę, a wtedy świnka jak nie skoczy przez kładkę i nie polecą z babuleńką do chaty!

Zanim mrok zapadł, babuleńka była ze świnką w domu.

(oprac. ed)